Nr. 37. **Poznań, Niedziela 9go Grudnia 1894 r.** **Rok. I.**

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen., pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Pod adresem kandydatów i wyborców.

Pierwszy akt kampanii wyborczej w okręgu mogilnicko-żnińsko-wągrowieckim już się rozegrał. Życzenia nasze, wypowiedziane z całą otwartością w ubiegłym tygodniu, — życzenia całej nieuprzedzonej i zdrowo myślącej inteligencyi ziścić się nie mogły, bo mecenas *Moczyński* kandydatury na posła do sejmu pruskiego nie przyjął. „Lękam się — pisze p. *Moczyński* w liście do redakcyi naszej — że obowiązki zawodu nie pozwolą mi obowiązków posła do sejmu sumiennie wypełniać“ — a słowa te są najwymowniejszym dowodem, że kandydat nasz zapatruje się na mandat poselski z całą powagą dojrzałych uczuć obywatelskich i jeżeli kiedyś go przyjmie, to tylko w tem przeświadczeniu, że całą duszą trudnemu zadaniu poświęcić się może.

Nazwisko p. *Moczyńskiego* nie znajduje się zatem na listach kandydatów i nie znajdują się na nich nazwiska kilku zasłużonych osobistości, które się o mandat ubiegały, a przedstawiały bezwarunkowo więcej materjału na mężów politycznych niż niejeden z tryumfujących współzawodników. Sympatycznie przemówiła do nas mianowicie kandydatura radzcy Sobeskiego z Friedebergu, sympatycznie spowiedź jego publiczna na zebraniu przedwyborczem w Mogilnie. Mowy kandydackie, ów niezbędny postulat wszelkich poważnych stronnictw politycznych, stały się u nas nieomal rzadkością, lubo mowy te są wyraźnym objawem szacunku dla powołanych na zebranie wyborców. Kandydatury ludzi, nie uznających za potrzebne przedstawić się tym obywatelom, których w sejmie lub parlamencie reprezentować pragną, budzić muszą z natury rzeczy w myślących kołach wrażenie, że przyszły poseł bądź to lekceważy sobie wyborców, bądź też lęka się kompromitacyi przed szerokiem gronem polskich słuchaczy i milczeniem pokryć pragnie program polityczny, któremu służy, a który w okręgu nie ma zwolenników. W naszych warunkach, gdzie koło polskie mur postawiło między sobą a społeczeństwem i za tą nieprzejrzystą kurtyną bez kontroli publicznej założyło fabrykę spornych wartości politycznych, pożądanem jest więcej niż gdziekolwiek odsłonięcie przyłbicy w kandydackiej mowie. Nie pozwolono nam zajrzeć za kulisy Koła polskiego, odjęto nam wszelką memal kontrolę reprezentantów naszych, zamknięto szczelnie wszystkie drzwi i okna wiodące tam, gdzie o losach społeczeństwa polskiego toczy się dyskusya, i nadomiar żądają od nas, aby głosować na posłów, których często zaledwie znamy z nazwiska. Stanowisko deputowanego w Kole jest dla wyborców na mocy dziwacznego regulaminu zamkniętą książką, więc społeczeństwo żądać powinno z całą stanowczością, aby przynajmniej aspirant do mandatu poselskiego wyspowiadał się publicznie ze swoich przekonań politycznych. Tam, gdzie obrady frakcyjne nie są tajemnicą, a solidarność prawem nietykalnem, tam sama działalność poselska odsłonić musi credo polityczne i kwalifikacye umysłowe parlamentaryusza, zaszczyconego zaufaniem narodu. Jeżeli stanowisko jego nie odpowie nadziejom wyborców, można go powołać przed trybunał społeczeństwa i wytoczywszy oskarzenie, zmusić do złożenia mandatu. U nas postępowanie takie wyklucza — kurtyna; u nas wszelką krytykę paraliżuje tajność obrad frakcyjnych. My wiemy jedynie z debat sejmowych i parlamentarnych, co *większość* Koła w sekretnem zamknięciu uchwaliła, a tem samem tylko w wyjątkowych wypadkach sądzić możemy na rzeczowej podstawie o stanowisku posłów poszczególnych. Przypadkiem wprawdzie odsłania nam niekiedy opinia, jaką zasadę w tej lub owej kwestyi politycznej reprezentował nasz poseł, lecz na wyraźne zapytanie wyborców poseł ten *zmuszony* jest odpowiedzieć milczeniem. Z tego fatalnego znaku zapytania płynie atmosfera niepewności i myślące społeczeństwo staje przy urnie wyborczej z dziwnem uczuciem wahania: Mamyż głosować za człowiekiem, którego stanowisko w spornych kwestyach politycznych jest i pozostanie dla nas zagadką?

To też dziwić nam się nie można, że z całą energią żądamy przynajmniej spowiedzi publicznej od tych, którzy w charakterze „nowych ludzi“ ubiegają się o mandat poselski. Wiemy dobrze, że mowa kandydacka nie może być wszechstronnie jasną i bezwzględną gwarancyą przyszłej działalności politycznej, ale odsłonić ona powinna przynajmniej cząstkę fundamentalnych zasad politycznych i poglądów na palące kwestye chwili obecnej.

„Ojcowie narodu“ jednak przyzwyczaili się uważać społeczeństwo za posłuszne owieczki, którym nie wolno pytać się „Dla czego?“ lecz iść wypada ślepo za rozkazem autorytetów. Ufając w niewolniczą subordynacyą Janczarów swoich, — budując na apatyi jednych a ślepem i bezmyślnem zaufaniu drugich, wysuwają zuchwale na stanowiska poselskie ludzi, którym mandat potrzebny jest czasem dla zakrycia istotnej nicości, — którzy w kółku obywatelskiem używają opinii „dobrych sąsiadów“ lub „wesołych towarzyszy“, lecz w księdze pracy publicznej nie zapisali ani jedną zasługą nazwiska swojego. Ta zuchwałość zamanifestowała się poniekąd znowu na zebraniu wyborczem w Wągrówcu, gdzie na liście figuruje w roli drugiego kandydata pan *Leon hr. Czarnecki.* Być może, że w nowym tym aspirancie do mandatu poselskiego kryje się materyał na dyplomatę pierwszorzędnej wartości, — być może, że to umysł niepospolity i gorące serce, ale czyż godzi się na stanowisko najwyższe w narodzie powołać człowieka, który kwalifikacyi swoich nie zamanifestował żadną działalnością publiczną, o którego istnieniu zaledwie jednostki wiedziały, i który nie uważał nawet za potrzebne przedstawić wyborcom politycznego programu. Zatwierdzenie tej kandydatury jest nowym dowodem politycznego niemowlęctwa w społeczeństwie poznańskiem, nowym dowodem tej ślepej wiary w rekomendacye wątpliwych autorytetów, która nam niejednokrotnie już gorzko się dała we znaki. Nie mamy żadnej przyczyny powątpiewać o dobrych chęciach i dyplomatycznym talencie *hr. Czarneckiego*, ale jakąż odpowiedź udzielić nam może dostojny kandydat, jeżeli zapytany go się otwarcie: Co uczyniłeś dla społeczeństwa, skoro żądasz od niego najwyższej nagrody? Gdzież są dowody zdolności Twoich, skoro rościsz sobie prawo do najwyższego zaufania narodu? A jeżeli prace Twoje publiczne znane są tylko w granicach własnego powiatu, czemuż w obcym okręgu gonisz za mandatem, — cudzy i nieznany?

Wątpliwość innej natury nasuwa nam kandydatura p. *Wład. Dziembowskiego z Palędzia*, wysunięta na drugie miejsce w Żninie i Mogilnie. Tajnem nie jest nikomu, że wiek sędziwy nie pozwala panu Dziembowskiemu podjąć się uciążliwych obowiązków posłowania, a zatem kandydatura ta jest tylko fikcyjną. Zwyczaj układania takich list wyborczych jest wprawdzie

„uświęcony“ tradycyą, ale dowodzić chyba nie potrzebujemy, że właśnie argument „uświęcenia“ jest hamulcem społecznego rozwoju. Kandydatura fikcyjna narazić może wyborców pod presyą intryg i tajnych maszyneryi domowych, na różne niespodzianki i w pewnych warunkach posłużyć ku temu, aby w rozstrzygającej chwili na pierwszy plan wyprowadzić kandydatów podrzędnych. Zresztą fikcyjni aspiranci wysunięci „honoris causa“ stają się szkodliwym balastem, tamującym drogę do mandatów kandydatom rzeczywistym, dla których w stanowczym momencie miejsca na liście zabraknąć może. Na zakończenie niniejszego artykułu stwierdzamy fakt charakterystyczny, że w Wągrówcu postawiono trzech obywateli wiejskich, w Żninie trzech obywateli wiejskich, w Mogilnie dwóch obywateli wiejskich i jednego przedstawiciela wyższej inteligencyi. To się nazywa w Poznańskiem równouprawnieniem wszystkich stanów i demokratyzacyą społeczeństwa.

POLITYKA.

Listy z Petersburga.

VII.

Petersburg 29 listopada 1894 r.

(Zaślubiny. Wesoły ludek. Łaski cesarskie. Polacy w Petersburgu. Interwiew)

Zaślubiny cara Mikołaja odbyły się w poniedziałek 26go z niesłychaną uroczystością. Ludek petersburski nie rozpędzany ani bity przez policyą, dopuszczony na ten raz na dachy, balkony, latarnie używał swobody i nie żałował gardła. Grzmiące hurra wisiało nad miastem przez cały czas przejazdu z pałacu do cerkwi. Gdy zaś wracając z cerkwi car, kazał jeszcze usunąć wojsko co stało szpalerami wzdłuż chodników, to entuzyazm ludu przeszedł wszystkie granice. Tłoczono się prawie aż do drzwiczek karety, która musiała posuwać się wolnym krokiem. Przejeżdżając mimo katolickiego kościoła św. Katarzyny, car się zatrzymał i przyjął błogosławieństwo z rąk arcybiskupa ks. Kozłowskiego; chciał nawet jakoby wysiąść, ale tłum tak ścisnął karetę, że trudno byłoby otworzyć drzwiczki. Tak więc i car i publiczność przekonali się namacalnie, że można jeździć po ulicach Petersburga bez żadnej obawy, jeżeli się nie ma jeszcze zbyt ciężkich grzechów na sumieniu. Niebezpieczeństwo; które rzeczywiście groziło Aleksandrowi III w jego stolicy, groziło mu nie dla tego, że był monarchą, ale jedynie dla tego, że był takim, jakim był. Carskie wesele nie obeszło się jednak bez tragi-komicznego epizodu, a to z tej racyi, że w tak wesołym dniu nie wypadało zamykać „kabaków“. Pito więc na potęgę i popito się do tego tak, że około godziny 9tej tłumy podpiłych wiernych poddanych zalały całą ulicę przed carskim pałacem i po wyczerpaniu całego repertuaru patryotycznych pieśni zaczęły sobie pozwalać na słowa i czyny wcale nie licujące z powagą miejsca i czasu, a nawet profanujące sakrament małżeństwa. Proszono je, żeby się rozeszły, ale gdy prośby nie pomagały puszczono do ataku szwadron żandarmów, który prędko sobie poradził z nadużywającymi swobody obywatelami stolicy.

Nazajutrz w pismach ukazał się manifest z całym szeregiem łask monarszych. Zadłużona po uszy szlachta rosyjska otrzymała zniżenie opłat do banku szlacheckiego za zastawione w nim majątki z 4 i pół na 4 procent. Ulga ta nie dotyczy polskiej szlachty na Litwie i Rusi, gdyż jej na szczęście nie wolno jest wcale korzystać z usług tego banku. Włościanie zadłużeni w banku włościańskim otrzymali zniżenie opłat o jeden procent. Oprócz tego długi zaciągnięte przez włościan u państwa podczas licznych nieurodzajów do roku 1866, o ile nie były jeszcze spłacone, zostały darowane, a długi powstałe od r. 1866 do 1891 i podczas głodu w r. 1891—92 zmniejszone o połowę. Przestępcom karanym sądownie zmniejszono kary o trzecią część, nie wyłączając przestępców politycznych. Względem ostatnich minister spraw wewnętrznych otrzymał pozwolenie starania się u cara o jeszcze większe złagodzenie kar, o ile to uzna za właściwe. Ci ze skazanych za udział w powstaniu 1863 roku, którzy jeszcze nie zostali dotychczas ułaskawieni, otrzymali bezwzględne prawo powrotu do kraju. Dla najliczniejszego obecnie kontyngensu politycznych skazańców, t. j. dla tak zwanych administracyjnie ukaranych, których tysiące zaludniają Syberyą i dalsze gubernie carstwa, manifest zrobił przynajmniej tyle, że zostawił do uznania ministra spraw wewnętrznych prosić cara o ułaskawienie lub też zostawić ich własnemu losowi. Dotąd bowiem i prosić nie było wolno. Ważną okolicznością jest i to że minister może teraz wstawiać się do cara za administracyjnymi więźniami bez uprzedniego porozumienia z jenerał-gubernatorami, a więc na podstawie tylko swoich własnych zapatrywań, w ten sposób n. p. opinja Hurki lub Orżewskiego nie będzie mieć wpływu na los wysłanych z Królestwa i Litwy. Powiadają, że ten punkt manifestu napotkał przy układaniu na zaciekłą opozycyą ze strony satrapów, którym wydarto jednę z atrybucyi ich niemal nieograniczonej władzy. Szczególnie Hurko miał być bardzo zasmucony perspektywą ujrzenia w murach Warszawy niejednego z tych ludzi, których sam kiedyś wyprawił do „miejsc mniej oddalonych“, jak w języku oficyalnym nazywają zachodnią Syberyą. Są jeszcze miejsca „bardziej oddalone“, jak n. p. jakucka oblast'i Kamczatka, dokąd wysyłają bardziej ciężkich przestępców.

Nasza warszawska deputacya nie dopięła właściwego celu swojej podróży, którym musiała być oddzielna audyencya u cesarza. Byli wprawdzie Polacy w liczbie 29 w zimowym pałacu, ale nie odzielnie, lecz razem z 95 deputacyami od miast, ziemstw i różnych instytucyi. Cesarz o tyle wyróżnił Polaków, że przechodząc mimo polskiej deputacyi, powiedział parę słów po francusku do hr. Wielopolskiego i hr. Potockiego. Tak skromny rezultat podróży zadowolnił jednak w zupełności panów deputowanych, którzy wyszli z audyencyi w doskonałym humorze i skorzystali ze sposobności jaką przedstawiał ślub cara, żeby urządzić nazajutrz w kościele św. Katarzyny uroczyste nabożeństwo na intencyą szczęścia i powodzenia dostojnej pary. Udekorowano więc kościół mnóstwem żywych kwiatów, na chórze umieszczono włoskich artystów, a wyborowa publiczność, dopuszczona za biletami, napełniła wnętrze kościoła. Ludek, który mało się zna na polityce, ale za to umie szczerze się modlić, musiał stać na krużganku i na ulicy, bo bilety były tylko dla tak zwanej w petersburskim żargonie „czystej“ publiczności. Celebrował ks. biskup Szymon. Wszystkie pisma rosyjskie zaznaczyły ten fakt, że Polacy się modlą za cara, a więc trzeba się mieć na baczności, bo to nie bez kozery. Takie to już szczęście naszych lojalistów, że im więcej starają się manifestować swoją lojalność, tem więcej wzbudzają nieufności. Nie bardzo więc chce się Moskalom wierzyć i temu z panów deputowanych, który, będąc interwiewowanym przez „Nowoje Wremia“, nie chciał, czy nie umiał skorzystać z tej okazyi, aby powiedzieć rosyjskiemu społeczeństwu to, czego nie mógł powiedzieć carowi. Rozmowa deputowanego polskiego z członkiem redakcyi najbardziej wpływowego i poczytnego politycznego pisma w Rosyi zo-

---

Helena Ceysinger.

KWIATY.

Z księgi wspomnień.

Znałam was tyle, tyle! Widziałam was rosnące po brzegach strumieni, widziałam w puchu traw zielonych ukryte, widziałam w ciszy i cieniu lasów świeże, młode, wonne, albo po suchym, spieczonym gruncie rozrzucone jak smutne skazańce. Znałam was wiele i pamiętam wszystkie i nigdy nie zapomnę was kwiaty, towarzysze samotnej młodości mojej! Jam patrzyła na wasze narodziny i zgony, w moich oczach wyście rosły rozkwitały, stroiły się barwą i blaskiem, a potem więdły, umierały, ginęły... I były zaprawdę w waszych losach smutki i bole, były tragiczności ludzkie prawie. Ja znałem was i kochałam i wy kwiaty, wy znałyście mnie także. Pamiętam was jaskry i smółki wiosenne, niebieskookie, ciche niezabudki, pamiętam dziewanny złote i dzikie fantastyczne paprocie! Z wami, z wami rozmawiałam ja nieznaną ludziom mową lasów i pól i śród was w upojeniu marzeń prześniłam wiek dziecinny. Dziś ja od was tak daleko! Zimno, szaro, posępno dokoła, a w myśli mojej wstajecie wy kwiatki, potrząsacie nademną złotemi główkami, deszcz listków błękitnych, białych, purpurowych spada mi na czoło, woń pól wieje ku mnie i znowum z wami i znowum młoda i znowu dzieckiem jestem jak wtedy.

Pamiętam cię różyczko smutna, blada. Wyrosłaś w ciemnym zakątku ogrodu, pod murem i nigdy przez życie twoje nie padł na ciebie promień słońca. Niewiele listków miałaś na sobie, a i tych zieloność żółtawa była i znikła. Wybujałaś wysoko, aleś nienawistnego muru przerosnąć nie mogła i stałaś cicha, tęskniąca do światła. O kilkanaście kroków od ciebie był kląb, na którym rosły podobne tobie róże, tylko, że na nie przez wiosnę całą sypały się słoneczne promienie, polewały je deszcze, a słonko całowało — i wyrosły bujne, silne, pełne krasy. Przyszedł czerwiec i okrył je pąkami, potem kwiciem o gorących barwach przystroił i królowe wdzięków tonąc w blaskach słonecznych woń upajającą rozlewały dokoła. Od świtu roje barwnoskrzydłych motyli, roje pszczółek brzęczących unosiły się nad nimi. Przelatywały z kwiatu na kwiat, muskały je skrzydełek lekkich dotknięciem, odurzały się ich wonią, upajały słodyczą. I tak było aż do zachodu słońca, potem na spoczynek ulatywały pszczoły i motyle, a róże tuliły listki i senne marzyły jeszcze o długiej całodziennej rozkoszy.

Zakwitłaś i ty. Wydałaś jeden blady, mały, ale wonny i pełen uroku kwiateczek. Bezsilny chylił główkę i krył ją pomiędzy listki zielone. Codzień wieczorem przychodziłam do ciebie i codzień boleśniej skarżył mi się blady, pachnący kwiatek, że mu zimno i ciemno, że tylko chłodny promień miesiąca nocami pada na niego i srebrzy, że motyl żaden nie zabłądził w tę stronę, bo wszystkie lecą do światła, do słońca i do pięknych bujnych róż na kląbie. Długo czekał kwiatek szczęścia swojego kolei, aż wreszcie płatki jego korony zaczęły kurczyć się, usychać, opadać i samotny kwiatek uwiądł samotnie.

O blady kwiatku mój, od ciebie dowiedziałam się, że można być pełnym wdzięku i woni a zwiędnąć w ciszy i cieniach, że można śnić o słońcu, a nigdy gorących płomieni jego nie poczuć na sobie, że można pragnąć całą siłą istoty swojej i uschnąć z pragnienia. O wielu, wielu smutnych rzeczy nauczyłeś mnie, ty blady kwiatku róży!

Pamiętam i ciebie, fiołku drobny, słaby. Wiosna była gorąca, przez miesiąc cały wicher

stała naturalnie nazajutrz ogłoszona drukiem i jest tak charakterystyczną, że warto się nad nią trochę dłużej zatrzymać. Głównym argumentem, za pomocą którego Polak usiłował rozbroić Rosyjanina, powątpiewającego o możliwości nawrócenia się Polaków z rosyjskiego zaboru na drogę „cnoty“, była naturalnie Galicya z jej ultra austryacką polityką. Ale Moskal pospieszył się zastrzedz, że Rosya *nigdy* nie da Polakom tego, co mają w Galicyi i za co płacą rządowi lojalnością. Zdawałoby się, że na tem mogła się była urwać rozmowa.

Polak jednak natychmiast ustąpił i to bardzo dużo, bo z Galicyi przeszedł do poznańskiego i powołał się na waszą lojalność, dla której jakoby wystarczyło parę godzin polskiego języka i kilka przychylnych słów ze strony monarchy. Taki zwrot musiał niezmiernie zdziwić Moskala, przywykł on bowiem wraz ze wszystkimi swoimi ziomkami tłomaczyć waszą względną lojalność w całkiem inny sposób, mianowicie, że posiadając możność bronienia swojej narodowości za pomocą legalnych środków, nie uważacie za potrzebne tłuc głową o ścianę, jak to muszą z rozpaczy robić polscy poddani rosyjskich carów. Ucieszony więc taką względnością Polaka Rosyanin spytał go wprost o program. Nie odebral na to żadnej odpowiedzi, bo nie był to czas i miejsce do stawiania chociażby najskromniejszych politycznych programów, pod tym więc względem polski deputowany był w porządku. Ale oświadczając, że nie po to przyjechał, aby występować z programami, zapomniał powiedzieć Moskalom i przez niego całej Rosyi, że zanim przyjdzie czas na programy, należałoby rządowi i rosyjskiemu społeczeństwu załatwić jeden niezmiernie ważny rachunek, bez czego nie może być mowy o żadnem porozumieniu. Należałoby przedewszystkiem przywrócić Polakom normalne stanowisko w kraju i w Rosyi, zrównać ich pod wszystkiemi względami z Rosyanami i innemi narodami mieszkającemi na terytorjum cesarstwa.

X.

Przegląd prasy słowiańskiej.

„*Il Pensiero Slavo*“, organ Słowian południowych polemizuje w kwestyi słowiańskiej z dziennikami włoskimi i pisze:

„Autor włoski i publicysta hr. Maccola umieszcza w dziennikach włoskich szereg artykułów, w których charakteryzuje Słowian jako rasę barbarzyńską, brutalną, ciemną i bydlęcą (razza barbara, brutale, ignorante, animalesca). Zapytuje się, co narody słowiańskie dla cywilizacyi zdziałały wobec zasług niezaprzeczonych rasy romańskiej. Pyta się, co mają Słowianie wspólnego z Romanami, chyba piękne niebo i piękne kobiety. Odpowiadając na zaczepki hr. Maccoli, nasunąć się musi najpierw pytanie, co wspólnego ma autor jemu podobny z cywilizacyę łacińską? Prawdą jest, że Słowianie południowi zwłaszcza kształcili się i kształcą na wzorach romańskich, wielu z naszych mężów zasłużonych studyowało w Padwie, ale czy idee narodowościowe, poczucie jedności narodowej, dla których nas Włosi potępiają, nie są nabytkami zaczerpniętemi z cywilizacyi Romanów. Kochać to, co ojczyste, dążyć do niezawisłości politycznej i narodowej uczyliśmy się od nich. Czy Włosi uznają tych moralnie wyższych, którzy wśród nas stali się renegatami, czy renegactwo jest produktem cywilizacyi? Maccola zaczepiając Słowian i potępiając nas za to, że Włochami zostać nie chcemy, potępia patryotyzm wogóle.

„Po bitwie sedańskiej rozpoczyna się w Europie upadek rasy romańskiej, Romani ustępują odtąd Teutonom, od tej chwili rozpoczyna się w całym świecie reakcya w kierunku ujemnym. Starożytna cywilizacya łacińska jest bez wątpienia wielką, bo jej zawdzięcza Europa światło i życie, a jednakowoż ta cywilizacya okazała się słabą wobec tych, co chcieliby panować w Europie ogniem i mieczem, co głosili, że siła idzie przed prawem. Ale Włosi sami nie są wyłącznymi reprezentantami tej kultury, Włosi są wobec Niemiec i Francyi krajem w połowie barbarzyńskim. Kultura słowiańska jest dziewiczą i świeżą, ale daje ona dziś już starej Europie nowe soki, z niej płynie w żyły cywilizacyi europejskiej krew świeża.

„Autor artykułów się zapytuje, co reprezentuje Słowiańszczyzna w postępie ludzkości? Co dała lub daje sztuce, literaturze, przemysłowi lub kupiectwu? Widocznie autor jest ignorantem, kiedy nie wie, czem byli Hus, Kopernik, Komeński, czem są Matejko, Wereszczagin, Ajwazowski, Tołstoj i tylu innych. Przemysł czeski jest jednym z pierwszych w Europie. Czy można, nie będąc ignorantem zaprzeczać istnieniu cywilizacyi słowiańskiej?

„Czy Słowianie w historyi nie dokonali czynów wiekopomnych? Chcemy tylko wspomnieć Sobieskiego, obrońcę chrześciaństwa, ale imię polskiego bohatera z pewnością jest mu rzeczą nową. Czy Chorwaci walcząc przez tyle wieków z Turkami nie oddali przysługi cywilizacyi?

„Chorwatów nazywa autor włoski rasą przedajną, tymi, co kijami okładają żony, złodziejami itd... Nie wie on o tem, że nad grobem Raczkiego przemawiał prof. uniwersytetu Upsali, żegnając go w imieniu uczonych Europy. Dr. Forlani, znany publicysta włoski, rozpisuje się w dzienniku włoskim „Mattino“ z uznaniem najwyższem o postępie i ruchu umysłowym w Zagrzebiu.

„Już to nie przemawia na korzyść cywilizacyi romańskiej, że wśród publicystów, ludzi, mających pretensye do nazwiska uczonych, pojawiają się indywidua z taką ignorancyą historyi, sztuki i stosunków ekonomicznych, jak n. p. hr. Maccola.

*

„*Narodni Listy*“ rozpisują się o projekcie ułożenia „Domu Przemysłowego“ w Pradze jak następuje:

„W naszych walkach o byt ekonomiczny i narodowy największy udział biorą rzemieślnicy. Dotąd nie mieli oni w Pradze własnego domu, gdzieby kwestye wyłącznie tego stanu dotyczące były swobodnie i codziennie roztrząsane. Dla tego z radością witamy projekt założenia „Rzemieślnickiej Besedy“. Projekt ten znalazł już w kołach rzemieślniczych najsilniejsze poparcie i nie ma wątpliwości, że w czasie krótkim instytucya do życia zostanie powołaną. Rzemieślnicy czescy budują dla siebie dom, który ma mieścić sale, czytelnie, restauracye i składy. Powodzenie materyalne jest prawie zabezpieczone. Małe kwoty, jakie wpłacić należy, ażeby stać się uczestnikiem przedsiębiorstwa, zapewniają mu poparcie szerokie. Według statutów członkiem fundatorem jest każdy, kto złoży 100 złr. naraz lub w ratach miesięcznych w ciągu roku. Członkiem rzeczywistym, kto wpłaci 50 złr., członkowie czynni płacą rocznie 2 złr.

---

wał południowy, a deszczu nie niósł za sobą. Broniłeś się kwiatku mały, długo broniłeś zagładzie. Pączki twoje obleciały, pokurczyły się listeczki, ale żyłeś, wciąż żyłeś jeszcze. Gdybyż ciepła, wiosenna ulewa! Ale nic, susza była ciągła, susza straszna jak śmierć-niszycielka. I przyszłam do ciebie jednego wieczoru, zczerniały byłeś, a korzonki twoje wygrzebał wicher z suchego piasku. Jużeś mi się wydał umarły. A właśnie nadciągały chmury, zbierały się i w nocy deszcz upadł rzęsisty. Przyszłam do ciebie nazajutrz: śmiał się świat cały odmłodzony, rosą zlany, ty jeden nie ożyłeś. Listeczki twoje leżały przybite do ziemi, zczerniałe i już nigdy, nigdy zazielenić się nie miały, Zapóźno mój kwiatku! Zapóźno spadły dżdże wiosenne.

A ciebie, bluszczu zielony, biegnący ku górze, czy mogę zapomnieć kiedy?! Zakochałeś się w smętnej ruinie i listków twoich świeżością ustroiłeś stare mury. Jednego dnia rozsypały się gruzy i ciebie rozwalinami przygniotły. Łodygi twoja pnące połamały, pogruchotały kamienie. Zginąłeś bluszczu zielony. I czemużeś ty się miłośnie ruiny wiecznej uczepił? Czemuś życia z życiem nie sprzągł raczej?!

Pamiętam i ciebie najsmutniejszy ze wszystkich krzewie doniczkowy! Bożem drzewkiem zwano cię podobno. Szyba szklana dzieliła cię od świata, od powiewów wiatru, od deszczów ochłody. W dusznem powietrzu pokojowem wyrosłeś i żyłeś. Czyż to życie, czyż to życie było? Raz, pamiętam, rozszalały się wichry marcowe, topiły powłoki lodów, dzikim pędem gnały fale potoków, z trzaskiem łamały pnie, deszczem kroplistym biły o szyby. Tyś stał na oknie nieruchomy, obojętny, niemy. Wtem szczeliną jakąś wcisnął się zimny, gwałtowny, walką rozszalały powiew wiosenny i zatrząsł spokojnemi gałązkami doniczkowego krzewu. O drzewko moje, widziałam wtedy, jak dreszcz tajemniczy przebiegł roślinne twoje ciało i cichym krótkim jak chwila zaszumiałeś szumem. Ja zrozumiałam tę krótką, urwaną pieśń twoją. Tyś wołało, że chcesz powietrza, że chcesz wichrów wiosennych szalonego uścisku, że tobie trzeba szamotać się z nimi i łamać i giąć, że tobie trzeba chłonąć wiosny oddechem ożywczym, z przyrodą całą szaleć i szumieć i żyć! Przeszły wichry marcowe, uciszył się świat, tyś jak przedtem na oknie twojem stało nieruchome, spokojne i nieme i dziwny szum gałązek twoich nie powtórzył się już więcej i dreszcz wiosenny nie wstrząsnął tobą już nigdy. Smutne drzewko Boże!

Nie po wszystkich was przecie takie mi żałosne pozostało wspomnienie. Ot, dziewanny moje złote, wyście mi zawsze tylko czarowne jakieś z prastarych czasów nasuwały dumki. Pamiętam, rosłyście tłumnie, lasem całym na wzgórzu zasłoniętem od wichrów północy i złote kiście wasze jarzyły się w promieniach sierpniowego słońca. Między wami było mi dobrze, woń lip słowiańskich czułam dokoła a w duszy grały mi echa z jakichś dawnych, dawno przebrzmiałych lat, O! niegdyś, niegdyś.... wy nie dziewanny były, ale dziwy szczęsne, kapłanki jakiegoś dobrotliwego boga, który za służbę wierną, po śmierci w kwiat złocisty was zamienił i dziewannami wyrosłyście na polu. Czy prawda, nie wiem. Ale wy chwiejące się w powietrza błękicie miałyście coś z powagi i czaru kapłanek.

O kwiaty, kwiaty, jakiemiż wy snami napełniałyście duszę dziecka!

Pamiętam, leżałam na łące, woda szemrała cicho, schylały się nad nią wierzby zielone, niewidzialny skowronek gdzieś w powietrzu odmawiał śpiewną modlitwę swoją. Zresztą cisza panowała dokoła. U stóp wierzby, nad wodą błękitniały niezapominajki, bliżej mnie bielił się srebrnik, — koniczyny i gorczyczki różowe plątały się ze sobą, — smółki i drżączki chwiały za każdym powiewem wietrzyka. Za mną paprocie, głogi i kaliny rozkładały się poważnym wieńcem, a tuż nad głową moją kołysał się królewicz łąki, wysoki, fijołkowy dzwonek. Rozmarzyła mnie łąka i śpiew skowronka, usnęłam i śniło mi się, że wśród wielkiej ciszy powietrza niosą mnie gdzieś w dal kwiaty

LITERATURA I SZTUKA.

Antoni Rubinstein.

(Wspomnienie pośmiertne).

Pięć lat zaledwie upłynęło od uroczystości, któremi w całej Europie święcono jubileusz półwiekowej działalności Antoniego Rubinsteina, a już ta działalność należy do historyi. Kilka dni temu umarł największy z pianistów, ubyła ze świata artystycznego jedna z niewielu potężnych i twórczych indywidualności. W swoim czasie staraliśmy się scharakteryzować tego mocarza fortepianu, — do ktorego pisując, — Liszt zwykł był, dla jego podobieństwa z van Beethoven'em, używać przyjacielskiego przydomku „Van II.“ Miniony od tego czasu krótki okres nie wniósł nic nowego do tej charakterystyki i wnieść też nie mógł, bo blizko sześćdziesięcioletni podówczas mistrz, dźwignął się już na te wyżyny, z których życie ze swemi spełnionemi zadaniami wydaje się artyście skończonem dziełem sztuki. Do katalogu utworów fortepianowych, symfonicznych i operowych, mogło jeszcze przybyć to i owo; nie przybył ani jeden znamienny rys do wizerunku postaci, która imponowała do ostatka niespożytą siłą, a dziś posągowo niemal stoi na pograniczu dwóch artystycznych epok: romantyzmu i wagneryzmu. Romantykiem był Rubinstein nietylko z doby urodzenia, ale i z tego co w nim pod wpływem krzyżujących się zewsząd romantycznych prądów podniosło namiętny temperament do potęgi tak zwanej przez ówczesnych Niemców „tytaniczności“ dramatyzującej każde uderzenie serca, każdy poryw ducha.

Dramat stanowił rzeczywiście istotę twórczości Rubinsteina: ale miał w sobie coś osobistego, coś, co zdawało się odgrywać w głębi duszy artysty i czemu subjektywność mistrza nie pozwala wcielić się w plastykę działających osób, w życie scenicznej akcyi. Rzecz dziwna — kompozytor, który w lada drobnostce odzywał się bodaj na chwilę burzliwemi akcentami, potrzebował koniecznie indywidualnego w dramacie udziału, aby go genialnie nastroić; a słabło w nim to tchnienie w miarę, jak twory swoje bardziej od siebie odrywał i na więcej przedmiotowym stawiał gruncie. Ztąd ta potęga Rubinsteina, jako wykonawcy i dyrygenta; tragiczny przy fortepianie, całą duszą jeszcze obecny w muzyce pokojowej, której atmosferę zaciszną, intime, wstrząsał dramatycznemi wybuchami, w poematach orkiestrowych i symfoniach stawał się Rubinstein epikiem lub malarzem, a aspiracye jego do „dramatu lirycznego“ nigdy się na seryo po za estradą nie ziściły i mimo kilkakrotnych prób w dziełach, dla których nawet nową wynalazł nazwę „oper religijnych,“ zaklętej linii kinkietów teatralnych z prawdziwem powodzeniem nie przekroczyły. Była w tem może wielka wewnętrzna tragedya życia Rubinsteina, jedna z tych, jakie noszą z sobą genialni twórcy, staczający nieustanną walkę ze swemi ideałami, jak biblijny Jakób z aniołem; cierpiał może mistrz bardzo przy tych zapasach, ale to cierpienie weszło jako materyał do jego twórczości, która szukała sobie ujścia wszędzie, nawet cudze tłomacząc natchnienia. Kiedy Rubinstein zaczynał jakąś sonatę Beethoven'a, powstawała zaraz w obozie beethowenistów niezgoda. Jedni twierdzili, że ten lub ów frazes za szybko, za gwałtownie jest prowadzony, że to lub owo adagio, zbyt dowolnie się rozwija; wszyscy jednakże schylali jednomyślnie głowę przed potęgą interpretacyi, dla której nie było szkół, stylów, formuł artystycznych — istniała tylko dusza kompozytora. To samo działo się z głęboką poezyą Chopina, z genialną fantazyą Schumann'a, z wytworną plastyką Mendelsohn'a; brał to wszystko mistrz, przetwarzał w kopiach, z których każda była arcydziełem i podpisywał Rubinstein fecit.

Środki miał ku temu cudowne. Naprzód rysunek, przypominający śmiałością, często zuchwalstwem rzutów Michała Anioła. Muzykalny frazes występował pod jego palcami z dosadnością i siłą, podobną niekiedy do przesadnie wypukłej muskulatury Buonarotti'ego; wielkie szkicowe rysy stanowiły wszystko w tych konturach, często niewykończonych, jak gdyby rozmyślnie, żeby filistrom dać wdzięczny temat do rozpraw o „fałszywych nutach.“ Wrażenie „szkicu“ było zawsze olbrzymie.

A potem koloryt. Takiego mistrzowstwa w zabarwianiu dźwięku nikt przed Rubinsteinem nie posiadał i nikt też ze współczesnych takiem bogactwem farb pochwalić się nie mógł. Stopniowanie odcieni było w grze artysty zdumiewające: od uderzenia krótkiego, suchego, jak ukłucie ostrem narzędziem, aż do dotknięcia, które niby najmiększa oddziaływała pieszczota, tony zmieniały kolor, rozpływały się jeden w drugim, ciepło i światło z siebie jednocześnie wydzielając. Paleta naprzemian i orkiestra, fortepian odzywał się na rozkaz Rubinsteina wszystkiemi instrumentami, temi nawet, które naturze fortepianowej wprost sprzeciwiać się zdawały Haendla naprzykład traktował mistrz z taką znajomością tajemnic klawisza, że zamknąwszy oczy, słyszało się potężny organ ze wszystkiemi regestrami i z grzmiącym basowym pedałem.

Ta jedyna w swoim rodzaju technika zostawała na posłudze organizacyi artystycznej, która równej sobie nie miała. Obdarzony kolosalną pamięcią, był Rubinstein w zakresie interpretacyi historykiem muzyki, zdolnym streścić na fortepianie jej dzieje, co też przedsięwziąwszy przed siedmiu laty, dokonał w słynnych historycznych koncertach.

Jak w obrazie malarz siebie niegdyś w najskromniejszej uosabiał postaci, tak Rubinstein w tem swoim malowidle dziejowom sam ostrożnie i prawie niechętnie występował. A skromność to była zbyteczna, bo wielki artysta twórczością swoją, zarówno wykonawczą, jak kompozytorską zamykał pewien okres sztuki i streszczał go niejako. Rubinstein zbyt bystrą był inteligencyą artystyczną, ażeby nie zdawał sobie sprawy z nowych kierunków, w których za jego już życia podążała muzyka; ale ani pisząc, ani grając, nie dał się tym prądom porwać i wolał zostać do końca na placówce, na której go niegdyś romantyzm postawił. Rozum i wiedza odzywały się w jego interpretacyi, w jego dziełach; despotyzmowi oschłej refleksyi nie poddał się nigdy pamiętając zawsze o tem, że uczucie jest sferą, w której muzyka wszechwładnie panować może.

To też wobec dzisiejszego wirtuozostwa, chwiejącego się między efektami brutalnej siły, a rozmyślnie chłodną retoryką; wobec literatury, osłaniającej brak inwencyi doktrynerskiem dla melodyjnych pomysłów lekceważeniem, występował Rubinstein na estradę z pewną nieufnością, w postawie prawie odpornej, jak gdyby grał i tworzył sam dla siebie; wyraz skupienia osiadał na jego beethowenowskiem obliczu, przedzieranie się tytanicznego temperamentu przez tę kamienną powłokę, było także jedną ze scen dramatu, którego bohater wywierał w końcu na ujarzmioną publiczność wrażenie zgorączkowanego sfinksa.

Wszystko to już umilkło i zastygła we wspaniałą statuę ta sfinksowa fizyonomia. W jakim Panteonie znaleźć ma miejsce? Społeczeństwo, wśród którego żył Rubinstein, mówi, że w narodowym, i zdaje mi się, że się myli. Na twórczości Rubinsteina, w zachodniej atmosferze poczętej i rozkwitłej, zachód ze swoją kulturą piętno niezatarte położył i w tyglu kosmopolitycznym motywa narodowe przetopił; echa pieśni narodowej w duszy Rubinsteina nie grały jak Czajkowskiemu, ani odrębnym kolorytem nie zabarwiły, jak u Chopina — wszechc światowych ideałów. — Kto więc, nazywają-

---

moich łąk i pól. Pozbawiona ciężaru płynęłam, płynęłam wciąż. Paprocie podpierały senną moją głowę, bluszcz chłodnym wiankiem opasywał mi czoło, dziewanny złote leżały mi u boku, niezapominajki i biały kwiat cierni leżały mi na sercu. Lilie i róże, bzy i stokrotki, smólki różowe, gwoździki, jaskry, fijołki, rozchodniki i nawrotki i wszystkie ile ich polskie pola rodzą, niosły mnie cicho gdzieś, w dal, a nad głową moją dzwonek łąkowy dzwonił pogrzebową piosenkę. Bo to pogrzeb był mój. I niosły mnie kwiaty daleko, daleko przez pola, przez lasy, przez góry, aż zaniosły do cichej, chłodnej groty i senną złożywszy na ziemi pokryły płaszczem z wonnych, barwnych listków swoich. Tak miałam spać na wieki.

O kwiaty, kwiaty moje, czemuż to było marzenie tylko?! O uproście wy dla mnie, bym ja kiedyś, kiedyś... w wiosenną godzinę zwycięstwa, rozpaloną twarzą upadła na łąkę zieloną i śród was kwiaty snem wiecznym usnęła!

CATULLA MENDÈS.

PORTRET PUSTEJ ŚCIANY.

Tłumaczył **Ay.**

W mieszkaniu, w którem się urządzałem w pierwszych dniach zimy, tak już dalekiej, znajdował się, zawieszony na ścianie pracowni mojej, portret kobiecy, bez ram. Ledwie rzuciłem nań wzrokiem, podczas gdy ustawiano meble. Twarz nic nie mówiąca, nieokreślona, wykonanie bardzo średnie. „Przeszły lokator zapomniał go zabrać“ pomyślałem „wróci po niego za chwilę, lub też jutro“. Postanowiłem zostawić go tam gdzie był, nie ruszając go wcale; być może, że drogim był temu, który po niego powróci. Ale nikt się o portret nie upomniał. Dwa dni potem, w chwili, gdy zasiadałem przed biurkiem, zaczął mi nagle zawadzać. Zadzwoniłem, służący zabierze go i rzuci w kąt jaki. Tymczasem przypatrywałem mu się z uwagą, a gdy służący, wchodząc, zapytał: „Co pan rozkaże?“

— Nic! — odpowiedziałem. Gdyż zdawało mi się teraz, że poznaję nie ten portret lecz kobietę, którą przedstawiał.

Tak, poznałem ją z pewnością... Kto ona była? nie byłbym umiał odpowiedzieć. Te włosy, kasztanowate, bez blasku, to czoło nieco pożółkłe, bardzo gładkie, przecięte jedną tylko zmarszczką, te oczy, mające szary błękit nie głębokich jezior — gdzie ja je spotkałem, żyjące? nie wiedziałem. Ich widok wywołał teraz we mnie uczucie melancholii, nie będące bez słodyczy — a równocześnie zdawało mi się, że w powietrzu unosił się zapach zgasłego ognia, popiołu, jak gdyby wiatr, wślizgnąwszy się kominkiem, rozsypał około mnie, na mnie, wspomnienie dawnego ogniska...

Co! wykrzyknąłem.

Niestety! tak! było to, przypadkowe oczywiście, zepsute zresztą przez niezręcznego malarza, podobieństwo słodkiej przyjaciółki, kochanki prawie macierzyńskiej, łagodnej pocieszycielki, która z swych ramion zawsze otwartych dla moich powrotów, zawsze łaskawych dla mych win uczyniła drogą kolebkę mych pierwszych znużeń i pierwszych mych zgryzot. Gdzie ona była? Gdzie są dusze zmarłe. Zapach popiołu, napełniający mój pokój, to była może woń jej dalekiej mogiły..... Widziałem portret przez łzy.

Chopina kosmopolitycznym, jednocześnie Rubinsteina mianuje narodowym muzykiem, ten zapomina o kapitalnej różnicy: Chopin przedstawiał w Europie swój kraj, Rubinstein w swoim kraju reprezentuje Europę; i Europa też artystyczna równie dotkliwie, jak własne Rubinsteina społeczeństwo, odczuje stratę jednego z największych swoich synów.

W. Bogusławski.

Fazy twórczości Asnyka.

(Dokończenie.)

Najrozleglejsze i najlepiej wcielone w kształty estetyczne, rozwinięcie prawd nauki nowożytnej dał Asnyk w szeregu 30-tu sonetów, objętych ogólnym napisem „Nad głębiami". Jestto jakoby streszczenie jego filozofii. Zgodnie z wynikami teoryi poznania twierdzi poeta, że „daremnie wzrok nasz za tem wszystkiem goni, co pod powierzchnią zmiennej fali bytu się ukrywa"; ruchliwa fala zjawisk, gdy jej tajemnice schyleni nad nią zbadać chcemy, „własną twarz naszą" ukazuje nam, a cały nasz widnokrąg — to rzucone w wszechświat „odbicie człowieka". Od otaczających nas wiecznych ciemności nikt odpowiedzi nie otrzyma, „chyba nam echo odrzuci pytanie, przywtórzy myśli, tkwiącej w piersiach skrycie", i nieraz bierzemy za prawdę „ten głuchy oddźwięk własnej wyobraźni, sądząc, że słyszym tajny głos natury". Pokolenia ludzkie nieprzerwanemi łańcuchami płyną „w nieskończoność mroczną, nie wiedząc, skąd wyszły, jaką idą drogą i dokąd zajdą: „podległe skrytych instynktów wskazówce" badają ten „wązki szlak przestrzeni", jaki im poprzednicy zostawili, i „tę przelotną grę" świateł i cieniów, jaką w swej krótkiej napotykają podróży. Gdy wśród ciemności nas otaczających ktoś światło wniesie, choć wzrok nasz obejmie widnokrąg szerszy, to dokoła miejsca oświetlonego, otchłań ciemności jeszcze większą się staje:

Wraz z blaskiem wiedzy zdobytej płomienia,
W miarę jak widzeń krąg się rozprzestrzenia,
Wciąż obszar mroków nieprzebytych rośnie...
I to, co strzedz możemy, jest niczem
Przed tem nieznanym, skrytem, tajemniczem,
Co nam mrok wieczny zasłania zazdrośnie.

Wszystko idzie na pastwę „bladej przemian druchnie"; przeszłość nigdy nie wraca w dawnej swej postaci, ale nie umiera; idealna jej strona ma wieczne siedlisko w żywej ludzkości; praca plemion uprzednich nie przepada, lecz staje się zasobem, który zwiększony przez nas dostanie się w spadku następcom naszym; istnieje ścisły związek pomiędzy kolejnemi ogniwami istnień:

Wszyscy są wspólną związani macierzą —
Umarli, żywi, wielcy czy też mali,
Wrogowie, bracia, dalecy lub blizcy,
Jedni od drugich nawzajem zależą,
Odpowiadając, na wypadków fali,
Każdy za wszystkich za każdego wszyscy.

Ten twardy obowiązek wzajemnej odpowiedzialności, ta zależność losów, wspólnictwo winy, ale zarazem i wspólnictwo zasługi, łączy wszystkich rozpierzchłego po ziemi rodu w „Duchu, co wszystko ożywia — jedyny". „Umysł, świadomy „nieprzerwalności zbiorowego bytu", może spokojnie przyglądać się kolejnym fazom swego pochodu: „cząstkowym zgonom, pozornym zagładom, pomrokom nocy i jutrzenkom świtu", gdyż śmierć jest „stopniem wyższego rozwoju", jest „ciągłego postępu chorążym. Chociaż się poruszamy w praw niezmiennych obrębie, to przecież poznawszy je, możemy „jako czynnik chętny, niezawisły" grać „świadomą rolę" w rozwoju istnienia; gdyby zaś przeciwnie, kto chciał iść wbrew tym prawom, to wyższa ich potęga przemocą go powlecze za sobą i czyny jego przeciwko niemu samemu zwróci.

Poeta poszukuje celowości w zjawiskach przyrody, gdyż „natura twórcza, wieczna, bezcelowa nie da się zmieścić w naszych pojęć ramie"; równocześnie jednak wie on, że to poszukiwanie celowości jest wynikiem naszego własnego ustroju duchowego, który sam sobie stawiając cele i zamiary, tłómaczy sobie na język ludzki odwieczność i konieczność praw rządzących światem jako rezultat pewnego określonego dążenia. Stąd płynie rozmaitość w pojmowaniu celów świata, każdy bowiem umysł inną barwę chłonie z białości słonecznych promieni prawdy, każdy za całość bierze jedną tylko cząstkę, tj. tę, którą sam w swej „odbija" duszy.

Lubo z wyżyn patrzącemu duchowi wszystkie zmiany zachodzące w rodzie ludzkim przedstawiają się jako cząstki jednej całości, ale my, których istnienie ograniczone jest czasem, nie mogąc objąć okiem tego co przyszłość przyniesie, nie możemy być obojętni na przemijanie myśli lub kształtów przez nas ukochanych. Smutnie też dla nas wygląda schyłek roku, odarty z kwiatów i owoców, smutniej — koniec bezsilny żywota, pogrążony w długie, ciemne, pełne cierpień noce, ale najsmutniej „duchowy schyłek zamierającej powoli epoki", gdy w niwecz poszły prace pokoleń, strawiwszy siły najlepsze, zostawiając w spadku szereg błędów. Ale do rozpaczy przyprowadzać nas to nie może i nie powinno, gdyż nie ma w rzeczywistości zgonu w znaczeniu zupełnego zniknięcia bytu, a „jedynie dobrowolne samobójstwo ducha", wynikłe ze zwątpienia, jest okropnem na prawdę. Poeta sam świadkiem był schyłku jednej takiej epoki, gdy w jego oczach „rozpadło się w gruzy tęczowe państwo romantycznej muzy", gdy przebrzmiały „płomienne słowa, mistyczne zachwyty", sny bohaterstwa i wielkie natchnienia w życiu i w śpiewie. Żal mu tej „stubarwnej tęczy marzeń", ale się umie pogodzić z myślą, że ludzie „muszą prawdy powszednie zdobywać pracą". Żżyma się jeszcze niekiedy na nieubłaganą konieczność przemiany, naj zapomnienie dawnych zasług, na nadużycie haseł nauki dla apoteozy siły drapieżnej, ale ostatecznie w nowym zwrocie umysłów uznaje strony dodatnie:

Prąd czasu innem popłynął korytem,
Nastała nowa epoka żelazna,
Która wciąż ziemskim zaprzątnięta bytem
Niebiańskich widzeń słodyczy nie zazna,
I tylko w ziemi wnętrznościach się grzebie,
Zajęta myślą o codziennym chlebie.

Uboga duchem i uczuciem skąpa
Dokoła cień swój roztacza ponury,
Ciężko po ciałach ofiar swoich stąpa
I chciwą dłonią szarpiąc pierś natury,
Pragnie zasłonę zedrzeć tajemniczą,
Za coraz nową zdążając zdobyczą.

. . . .

Lecz chociaż droga nasza się rozchodzi,
A chłód wasz lodem spada nam na serce —
My błogosławim wam, rycerze młodzi...
Idźcie! jak światła przystoi czcicielom,
Oświecać drogi ludzkiego pochodu
Ku coraz wyższym i jaśniejszym celom!...

Nie we wszystkich wprawdzie poezyach z tego okresu znajdziemy taką pogodną wyrozumiałość i takie uznanie dla konieczności przemian dziejowych; znajdą się tam i słowa potępienia czasem, znajdzie się i niejasne rozgraniczenie pomiędzy hasłami wiedzy, a okrzykami rozbestwionych tłumów, lub też pomieszanie całkiem uprawnionych wymagań z mrzonkami bezpodstawnemi („Wśród przełomu"); ale biorąc rzecz ogólnie, trzeba powiedzieć, że powyżej określony pogląd na sprawy świata przemaga w tym czasie w twórczości Asnyka stanowczo, a odstęp-

---

Od tej chwili jednę tylko miałem obawę, to jest, czy mi go nie zabiorą. Ale wiele dni upłynęło, nie miałem żadnej wiadomości o przeszłym lokatorze. Ostatecznie wmówiłem w siebie, że portret jest moją własnością. Dałem mu ramy z czarnego drzewa, martwego, za które zatknąłem wiązkę tych kwiatów, które wyglądając zawsze na umarłe, nie więdną nigdy. Było to słońcem w czarnych godzinach niepokoju mieć tu, naprzeciwko, zupełnie blisko tę pieszczotliwą i kochającą przyjaciółkę. Lecz raz, gdy zmuszony noc na pracy przepędzić, zapaliłem wszystkie moje lampy i świece ze czterech kandelabrów, by w sobie jasność rozniecić, nie mogłem, podniósłszy oczy na portret powstrzymać krzyku zadziwienia. Nie, nie, nie był on podobnym do macierzyńskiej kochanki mego chłopięcego wieku. Jakież zaślepienie, jakież złudzenie sprawiło, że ją w nim poznałem? Był on raczej podobnym, wątpić już o tem nie mogłem, do olśniewającej, wspaniałej istoty, która przez rok cały radości i chwały zachwycała me oczy i zapalała mój umysł. Ujrzałem ją znowu, to światło mych zwycięskich, męskich lat — niestety od dawna zagasłych — gorąco piękną, jak gwiazda na nowo zapalona. I byłem tego pewien, chociaż niewyraźnie tylko dostrzegałem portret przez łunę olśnienia.

Przez kilka tygodni sypiałem za dnia a pracowałem w nocy. O! żeby mi tylko portretu nie odebrano. Dałem ramy złote, promieniejące, w których palił się co wieczór odnawiany bukiet gorący złotych lilii i krwawych piwonii. A gdy przygasał mój geniusz, rozpalałem go przy płomieniu tej olśniewającej, przepięknej istoty.

Raz jednakże, gdy złamany długim bezowocnym wysiłkiem rozdzierających, dyszących pogoni za ideałem, doskonałem dziełem, nigdy nie dosięgniętem, usnąłem, z głową na stole opartą, doznałem, obudzony różowym promieniem jutrzenki, dziwnej niespodzianki, spojrzawszy na portret. I pomyślałem, że długi czas byłem błędnym. Nie, nie, nie miał on nic wspólnego z pięknością wspaniałej mej kochanki, z pięknością promiennego natchnienia mego. Skąpana bladą czerwonością wschodzącego dnia, było to za mało niepochwytne, co prawda, za nadto uzmysłowione przez artystę bez marzeń, urocze dziewczę, które, tak młode, tak dziecinne, raczyło mnie kochać na schyłku życia i uczynić z swej młodej wiosny słońce mej jesieni. Umarła ona także! Ale ujrzałem ją znowu przed sobą, w naiwności i wdzięku bliskiego rozkwitu, podobną do wszystkiego tego co będzie kwiatem, śpiewem, promieniem, lecz nie jest nim jeszcze. Byłem tego pewien, chociaż portret dostrzedz zaledwie mogłem przez zasłonę łez, wiszących mi na rzęsach jak rosa poranna.

Pracować o pierwszych brzaskach dnia stało się przez długie miesiące moim zwyczajem. O co za rozpacz, gdyby dawny lokator powrócił zażądać portretu! Wsuwałem codziennie za ramę z drzewa, biało malowanego, małą stokrotkę, jedyną jedną stokrotkę, lub też konwalię, albo różyczkę dziką ledwo zaróżowioną i pod wpływem anielskiej naiwności uroczego dziecka, które mnie kochać raczyło starzejącego się już, poematy moje napełniały się tem tchnieniem, które jest jak powiew wiatru, i zapachem macierzanki, mającej dopiero zakwitać.

Ale oto — powoli — budzić się zaczęła we mnie wzgarda dla dawniej dokonanego dzieła i niesmak dla przyszłych utworów. Już od bardzo dawna zajmowałem mieszkanie, w którem przeszły lokator pozostawił portret. I portret ten mnie już był podobnym do zmarłego dziewczęcia. Wkrótce podobieństwo zatarło się zupełnie. Czy dla tego, że znowu nabrał rysów tryumfującej kochanki lub macierzyńskiej przyjaciółki? Nie, nie przypomniał już żadnej z tych, które kochałem i które mnie kochały. Widziałem tylko włosy kasztanowate, bez blasku, czoło nieco pożółkłe, gładkie bardzo, przecięte zmarszczką, oczy, mające szary błękit nie głębokich jezior. I nic zajmowałem się nim więcej, ócz nawet na niego nie podnosiłem; nie byłbym doznał żadnej przykrości rozstając się z nim. A jednak doznałem pewnego zdziwienia, wolnego wszakże od wszel-

stwa od niego dadzą się łatwo wyjaśnić, albo pochwyceniem w danej chwili pod wpływem nastroju jednej tylko cechy w zjawiskach spółczesnych, albo też niedokładnem sformułowaniem sądu, nieścisłem jego wyrażeniem, co wobec wymagań stylu poetycznego i formy wierszowanej razić nie powinno. Poeta stanowczo zerwał ze zwątpieniem i rozpaczą, dodaje też innym otuchy, wskazuje potrzebę wyrzeczenia się samolubnych dążeń, a ukochania ludzi, przejęcia się serdecznego ich potrzebami, spełniania obowiązku. To tylko nieśmiertelnem się stanie, „czego nie dzieli egoizmu miedza od wszystkich ogniw duchowych wszechświata“, to, co po za chwilowy swój zakres wybiega, bratając sie z życiem przyszłych pokoleń, to tylko, co pozostaje w najściślejszym związku z ciągiem usiłowań ludzkich ku coraz wyższemu udoskonaleniu.

Jakaż jest wobec tych zadań rola poezyi? Słusznie — mówi Asnyk — rzesza żywych żąda, „by dla niej z pieśni nowa jasność biła, świeża chęć życia i świeża odwaga, coby ją naprzód w przyszłość prowadziła“ („Orfeusz i Bachantki“). „Zmalała pieśń pośród nas — skarży się gdzieindziej — i kona już, nie budząc żadnego echa, straciła dawną swoją moc, sercem człowieka nie włada“; ale nie wątpi, że nadejdzie znów chwila, kiedy „żywych natchnień złota nić przewiąże prawdy zdobyte“, bo „co nieśmiertelne, musi żyć, choć zmienia kształty zużyte“ („Przeminął czas“). Ta trumna poezyi, którą dzisiaj ludzie zimni do grobu składają, zawiera tylko „uwiędłe kwiaty na jej ślubnej szacie, woń znikającą, lutni dźwięk rozbity“. Poezya zniknąć nie może, bo ona jest wszędzie rozlaną „w całej błękitów przestrzeni“; ona przemieszkuje i w jaskiniach ciemnych i świeżym liściem gruzy rozzielenia.

Zawsze tak samo młodych skrzydeł loty
Wzbijać się będą nad ciemne otchłanie,
Zawsze te same słowicze tęsknoty
I żądza szczęścia ta sama zostanie
I sercom ludzkim śpiewną da wymowę,
Dźwięki tak znane, a tak wiecznie nowe. („Na (zgon poezyi“).

Nie potrzebuje się ona stroić w niewłaściwe dla niej szaty naukowości, nie potrzebuje posługiwać się terminologią przyjętą w naukach przyrodniczych, — co Asnyk wybornie wyśmiał w żartobliwym wierszu „Napad na Parnas“ — ale musi się przejąć głęboko wszystkiem, co ludzi najwięcej obchodzi, wszystkiem, co jest żywotne i wielkie, musi biedz z postępem ducha ludzkiego. Wowczas zachwyci znowu stęsknionych za nią kochanków.

Od prawdziwej poezyi wyróżnić należy fabrykaty. Dzisiaj tak wysoko postąpiła sztuka wyrabiania kwiatów, że kto się im nie przypatrzy, łatwo oszukać się może. Otóż i w poezyi wzmógł się przemysł — mówi Asnyk — gdyż uczniowie wyzwolonych kunsztów wyrabiają ją na warsztatach: „odtwarzają nader wiernie układ, barwę i kształt wszelki, płatki koron, listki, ciernie, nawet lśniące ros kropelki“. Wyroby firm pierwszorzędnych, posiadając takie zalety mogą ozdobić salon eleganckiej damy. „Nic im nie brak.,. oprócz życia i poezyi słodkich czarów“ („Sztuczne kwiaty“).

Życie i prawda cechować powinny poezyę istotną, ale „realizm powszedni“ zdala od niej być musi, gdyż bez idealnego wzlotu obejść ona nie może; „by wyjrzeć oczami do nieba“, ludzie piąć się muszą; a z wyżyn wszystko, na co spoglądamy, jaśniejszem i czystszem się wydaje, niż gdy się zbliska przypatrujemy przedmiotom. Prawda piękniejsza jest od zmyśleń, gdy ją odczujemy silnie, a głęboko; nie potrzeba przyoblekać gór w szatę fantastyczną, dość jest odmalować pięknie, a prawdziwie ich majestat; nie potrzeba skał przemieniać w posągi, gdyż one same w swych kształtach istotnych najlepiej i najpoetyczniej się przedstawiają.

* * *

Asnyk jest poetą skomplikowanych stanów duszy. Poeta, artysta, myśliciel, kobieta z wysubtelnionem uczuciem i rozwiniętą inteligencyą smakować będą w jego utworach najwięcej, gdyż stany, przejścia, zmienne nastroje swych dusz znajdą w nich odwzorowane z nadzwyczajną prawdą i delikatnem dotknięciem. Myśl przenika tu wszędzie na wskroś stronę uczuciową i fantazyjną i stanowi z niemi jedność nierozerwalną, nawet w takich, samą na pozór prostotą odznaczających się utworach, jak „Bławatek“. Urok główny liryk Asnyka polega zdaniem mojem. przeważnie na niezmiernie świetnie pod względem artystycznym przeprowadzonej kombinacyi różnych nastrojów uczuciowych i myślowych, kombinacyi nie sztucznej bynajmniej, ale wynikającej z samej głębi duszy poety. Weźmy np. pod uwagę śliczny jego wiersz: „W noc czerwcową“. Jestto najprostszy napozór obrazek marzącego człowieka wśród ciepłej, jasnej nocy z jej duszącą wonią kwiatów, z srebrzystą mgłą księżycową, z trzódką białych chmurek i łagodnym wietrzykiem. Obrazek nocy jest tu tłem tylko, główną zaś rzeczą niejasne marzenia, napół senne, napół świadome; nie wiadomo, czy czoło marzyciela musnęła drżąca, miękka, pieszczotliwa dłoń, czy też to motyl nocny potrącił je swojem skrzydełkiem; nie wiadomo, czy przed jego wyobraźnią zjawia się słodki chór kiedyś znanych głosów, czy też dochodzi szum lasu; czy wśród liści drzew ukazała się jakaś twarz widziadła, czy też promień księżyca, czy to kropla rosy nagle na lica zleciała, czy też łzy. — Oto jak falują w duszy znużonej, wśród ciepłej, jasnej nocy czerwcowej, sploty różnych myśli i wzruszeń, wywołujące nastrój dziwnie tęskny i rzewny; a prostota środków artystycznych, któremi zostały wywołane, wprawia aż w zdumienie.

Ale biegły w otwarzaniu stanu duszy umysłów refleksyjnych, — co mu służy także wybornie w przerabianiu mitów i podań greckich dla wyrażenia myśli nowożytnej — Asnyk nie potrafi przejąć się usposobieniem, nie potrafi odmalować przejść umysłów nieukształconych, ze sfery ludowej. Jakkolwiek demokrata z przekonania, jakkolwiek spółczuje serdecznie z ludem, jakkolwiek wielkie jego znaczenie uznaje i akcentuje, to przecież jego losów, jego trybu życia i myślenia nie uczynił przedmiotem swoich pieśni. W początkach swego zawodu poetyckiego, w drugiej fazie swojej twórczości napisał wprawdzie 16 pieśni „z motywów ludowych“, ale wśród nich, trzy zaledwie można uznać za istotnie odpowiednie tematowi, t. j. oddające i szczerotę bezpośrednią uczuć i prostotę wyrażenia ludowego („Siwy koniu“, „Chłopca mego nie zabrali“, „Przykro jest dębowi“), gdy inne pod jednym albo pod drugim względem mocno szwankują i za piękne istotnie poczytane być nie mogą. Takie wyrażenia, jak: „kto prawdziwie czuć nie zdolny, ten się szumem słowa pieści“, wyborne znalazłoby miejsce w poezyi treścią swą należącej do sfer wykształconych, ale w piosence ludowej razić musi. Podobnąż uwagę zastosować można i do wielu a wielu innych zwrotów mowy, porównań, przenośni, myśli, rodzaju uczuć, jakie znajdujemy w tych niby ludowych motywach, które o tyle chyba są ludowemi, że krajobraz wiejski w nich spotykamy.

Nie ma też Asnyk skłonności do malowania nędzy materyalnej. Mówi nieraz o klęskach i nieszczęściach, ale wszędzie ma na myśli jakieś sceny wielkie, jakieś pogromy milionowe. Nędzy natomiast powszedniej, codziennej czy to w chacie wiejskiej, czy w zaułkach miejskich prawie wcale nie maluje. Gdy w izbie umiera stary siwy dziadus, to biedę w niej panującą zbywa poeta dwoma wierszami, a dość długa pieśń poświęcona jest przemowie umierającego starca, mało prawdopodobnej, w której stara się przekonać córkę, że lepiej będzie, gdy on umrze, bo dla innych zostanie więcej chleba.

---

kiej domieszki bólu, gdy pewnego dnia, — ileż już dni upłynęło od chwili, gdy tam zamieszkałem! — Gdy pewnego dnia, podnosząc przypadkiem oczy, spostrzegłem, że go już na ścianie nie było. Zadzwoniłem na służącego zestarzałego w mej służbie, — miał włosy białe jak ja — i zapytałem go:

— Dawny lokator powrócił?

Zdawał się zdziwiony.

— Nie panie — powiedział — nie było nikogo.

— W takim razie pytałem dalej, któż to zabrał portret?

Spojrzał na mnie, jak się patrzy na waryata.

— Jaki portret?

— Portret, który wisiał na tej oto ścianie.

— Nigdy żaden portret na tej ścianie nie wisiał.

— Być może — odpowiedziałem — dobrze już, zastaw mnie.

I smutek mną nie owładnął.

Nie ma mieszkania nowego, gdzieby dla tych, których serce jeszcze nie zamarło, przeszłość nie zawieszała mieniących się wspomnień; ale po latach nadchodzi niewidzialne zapomnienie. które unosi za sobą portrety pustej ściany.

ZAKOCHANA.

Helenie Zimajer ofiaruje
Autor.

I.

NA CZTERY RĘCE.

Myślałam sobie wczoraj wieczorem,
Że Ludwik dziwnym jest profesorem,
Bo choć się staram wciąż, — nadaremnie!
On zawsze jakoś niekontent ze mnie.
Gdy uczył Manię, to mówił do niej:
„Nie graj na pamięć, niech Pan Bóg broni!“
Mnie zaś powiedział i zły i struty;
„Pani to tylko patrzy na nuty,
„Nigdzie nie rzuci okiem na chwilę.“
Cóż ja mam robić? bez nut się mylę.
Nieraz przy lekcyi gram polki, walce
I przytem nawet źle stawiam palce,
A on nic! tylko czasem zawoła:
„Szczęśliwa pani! taka wesoła!“
Więc by i jemu humor naprawić,
Fałszywym marszem chciałam go bawić,
Grałam bez taktu. Niby niechcący
Pytam: Cóż ładny marsz? „Czarujący!
„Myślałem, że grał anioł z błękitu!“
A był to szczery okrzyk zachwytu,
Bo przecież ja się poznam na żarcie.
Potem się na mnie patrzył uparcie
I rzekł: „Mój Boże! kto ten szczęśliwy,
„Co przy tym marszu iść będzie?...“ — Dziwy!
Nagle zawołał, słysząc głos mamy:
„Panno Heleno proszę grać gamy.“
Po półgodzinnej z gamami męce,
Chciałam coś jeszcze na cztery ręce
Lecz on mi odrzekł: „Nie, droga pani,
„Inni grać będą, inni wybrani,
„Innego fachu, innego stanu,
„A nie profesor od fortepianu.“
Ta rzecz zupełnie była mi ciemną.
Rzekłam: „Pan pewno nie chce grać ze mną,
Bo to jest pracą bardzo mozolną.“
„Jabym miał nie chcieć? nie! mnie nie wolno,
„A zresztą, na co te tajemnice?!“
I tak mu łzami zaszły źrenice,
Że przestał mówić i w środku grania
Wybiegł z salonu bez pożegnania.
Mnie zaś tak serce zabiło w łonie,
Żem załamała bezwiednie dłonie
Z dziwną tęsknotą i niepokojem,
I łzy mi z oczu trysnęły zdrojem.
Złożyłam nuty i po cichutku
Wyszłam z pokoju w głębokim smutku.
Wieczorem, we śnie już przez połowę
Słyszałam papy z mamą rozmowę:

I starzec mówi także o biedzie, ale to już wspomnienie tylko, tem bardziej, że zachował w mieszku cztery talary na pogrzeb ladajaki. A w „Zapustnym obrazku“, choć jest mowa o izdebce dusznej, odrażliwej, o lampie dymiącej, co ją oświetla, to przecież nie dlatego, żeby nędzę odmalować w jej całej nagości, tylko, żeby powiedzieć, iż dla biedaków, prócz chleba, potrzeba także „odurzenia i szału“, że jak panowie bawią się w pałacach, tak biedota w szynku. — To są najwydatniejsze, o ile pamiętam obrazki położenia mas ludowych w poezyach Asnyka. Z usposobienia swego, a może trochę i z tradycyi romantycznej, zajmował się on niemal wyłącznie mękami ducha wzlatującego na wyżyny i wciąż stamtąd spychanego, a nie zwracał uwagi na dotkliwe materyalne cierpienia ponoszone przez pracowite mrówki ludzkości. Nie myślę mu z tego robić zarzutu, każdy powinien działać w sferze, którą rozumie i odczuwa najlepiej; a że pozowanie nie leżało w naturze naszego poety, jestto jego zaletą.

Streśćmy uwagi nasze. Wielki zawód, wielkie rozczarowanie w młodości wylało się z początku tęskną, bolesną skargą, potęgującą się stopniowo i zamieniającą się we wstręt do życia rzeczywistego, jakie widział przed sobą poeta. Lecz siły młodości nie dozwoliły zamknąć się w bezczynnej apatyi — wówczas niepokój wewnętrzny uczuć, wzmagany ciągłą pracą myśli, wylał się w szeregu pieśni malujących zmienne nastroje duszy nadzwyczaj wrażliwej i subtelnej, którą raziły ustawicznie odwieczne, ale dla każdego młodego nowe kontrasty idealnych pragnień i niemocy ich urzeczywistnienia, pięknych haseł i zaprzeczania im w czynie, pozorów świetnych i dusz miałkich, powabu zewnętrznego i pustki w sercu i w głowie. Ciężkie to było przejście, bo zarówno dla uczuć jak dla myśli było męką, ale przetrwał je poeta i potrafił zharmonizować swój dawny idealny pogląd na świat z wynikami nauki nowoczesnej i z dążeniami społeczeństw nowożytnych. Na nim sprawdziło się zdanie, że ból doskonali, zdanie, które tak pięknie wyraził w swoim „Chórze“:

Kto obrał niezwykłe drogi,
Musi się zbroić na ból i męczarnie;
Wyniosłej głowy nie oszczędzą bogi,
Nie wolno wznieść się bezkarnie.

Lecz kara w tryumf zamienia się potem,
Do dawnych blasków przyrzucając świeże:
Prawdziwa wielkość pod nieszczęścia młotem
Kształt doskonały przybierze!

Piotr Chmielowski.

„„Kto chce niech ze mną dziś się założy,
„Ale Helenka gra coraz gorzej,
„I ten pan Ludwik ma system nowy,
„Kwadrans nauki reszta rozmowy.
„Zobaczysz potem, że z tego grania
„Będziem odbierać powinszowania.
„Toby nie było wcale zabawne!
„Nie na tom zbierał listy zastawne
„I składał jeden przy drugim liście,
„Aby je oddać... fortepianiście“
A mama na to: „Mój Teodorze!
„Czy muzyk serca już mieć nie może?
„Ja jestem pewna, że przy talencie
„Błyśnie jak gwiazda na firmamencie.
„No! a wiesz przecie, że zięć, gdy sławny,
„To więcej znaczy niż list zastawny.“
Potem przycichła trochę rozmowa,
Ale wyraźnie słyszałam słowa:
„Czy aby tylko to nie zawcześnie...“
Usnęłam... jeszcze marzyłam we śnie,
Że on we fraku przyszedł do taty,
Że już za lekcye nie brał zapłaty,
Ja byłam przy nim w białej sukience.
I.... wciąż graliśmy na cztery ręce.

Wincenty Rapacki (syn)

Książka St. Koźmiana o 1863 r.

(Ciąg dalszy).

Dziwna jednak rzecz, że p. Koźmian wspomniawszy o aresztowaniach wrześniowych nie podaje nazwisk tych, co zastąpili aresztowanych członków komitetu krakowskiego, a co więcej, że nie ma w książce jego ani śladu o jakiejkolwiekbądź działalności odnowionego komitetu. Przyczyna tego bardzo prosta. Oto p. Koźmian zapomniał sobie jak to było, a nie chciało mu się dowiedzieć o tem ze źródeł... drukowanych. Weźmy więc przed siebie III tom „Wydawnictwa materyałów“* i poszukajmy w nim wiadomości o tem, co się stało z owym komitetem, a raczej *Rada prowincyonalna*, i na jaki czas rzeczywiście jego działalność przypadła.

Przypominają sobie czytelnicy ze streszczenia książki p. Koźmiana, że 9 lipca rozwiązano komitet Krakowa i Zachodniej Galicyi, a 10go utworzono *Radę prowincyonalną*, że Rada przyjęła pierwotnie regulamin przedłożony jej przez komisarza Rządu Nar., a później go odrzuciła. Wskutek tego pełnomocnik *Rządu narodowego* zgodził się na zmianę regulaminu przywracającą autonomją Radzie prowincyolnej. P. Koźmian opisuje przebieg tych sporów na podstawie, „ówczesnej relacyi.“ Wyrażenie to bardzo ogólnikowe, każące się domyślać, iż relacya owa jest prywatną, że jest źródłem nieznanem, znajdującem się w rękach autora. Tymczasem „relacya“ ta, złożona Rządowi Narodowemu, wydrukowaną została w tomie III „Wydawnictwa Materyałów“ wyszłym w roku 1890, a więc przed 4-ma laty. Nie jestto więc własne źródło p. Koźmiana, a co gorzej p. Koźmian dał tylko początek relacyi, a zamilczał całkiem o dalszym jej ciągu. A treść tego dalszego ciągu bardzo ciekawa. Autorowie relacyi byli przeciwnikami nowego regulaminu, zatwierdzonego pod presyą odmówienia pożyczki.**) Podawali powody dla których należy dawny regulamin przywrócić. Zaręczali, iż „opinja skłania się przeważnie ku bezpośredniemu zarządowi prowincyi przez rząd centralny“, a więc ku pierwszemu regulaminowi. Kraków cały nieomal, cała goretsza część społeczeństwa Galicyi zachodniej jest tego zdania, a nawet urzędnicy dawnej organizacyi nie czynią pod tym względem wyjątku: *obwody rzeszowski, boheński, sądecki, okręg krakowski i miasto Kraków, a więc większość Galicyi zachodniej przez naczelnych urzędników swoich w tym się kierunku stanowczo wyraziły.*“ Relacya ta opatrzoną była podpisami których jednak nie ma w materyałach. Jestto rzecz łatwa do zrozumienia. Dla rządu warszawskiego potrzebne były nazwiska, na kopji pozostałej w Galicyi nazwisk nie kładziono, ażeby w razie znalezienia aktów przez rząd austryacki nie uchwycił tenże całej sieci organizacyjnej.

Nie był to jedyny protest przeciw „autonomii, tak chwalonej przez p. Koźmiana. Naczelnik Krakowa Aleksandrowicz i komisarz obwodu krakowskiego Ignacy Lipczyński złożyli *Rządowi Narodowemu* memoryał, żądający stanowczo nowej organizacyi, gdyż obecna nie odpowiada celowi. Błagali, aby *Rząd narodowy* scentralizował władzę w rękach komisarzy-namiestników, których należałoby opatrzyć summą pieniężną „*dostateczną na to, ażeby ich uczynić niezawisłymi od dobrej woli autonomistów*. Materyał ten ułożony przez Mieczysława Paszkowskiego, komisarza obwodowego Tarnowskiego, wskazywał nawet osobistości odpowiednie na urząd komisarza-namiestnika Galicyi zachodniej.

Nie na tem koniec. Z polecenia obszerniejszego grona napisał historyk Henryk Schmitt kilkaarkuszowy memoryał o działalności Galicyi, w którym poddawał wyczerpującej krytyce całą dotychczasową organizacyą i domagał się również natychmiastowej jej zmiany. A pisał nie w imieniu „warchołów“, lecz w imieniu ludzi przeważnie „dobrze urodzonych“. Stanisław Jarmund (Wspomnienia str. 41) podaje iż uchwała napisania memoryału zapadła w mieszkaniu Augusta Wysockiego na zebraniu w którem brali udział; Schmidt ks. Adam Lubomirski, hr. Włodzimierz Dzieduszycki, Kornel Ujejski, Rayski, Boczkowski, Wild itd.

Wskutek tych przedstawień, a zapewne i wielu innych, *Rząd Narodowy* zdecydował się rozwiązać istniejącą organizacyą. Wysoce ciekawym jest stojący w związku, z tą sprawą odpis rozkazu namiestnika galicyi hr. Mensdorfa do wszystkich naczelników obwodów. Okazuje się z niego, iż w dniu 24 sierpnia namiestnictwo zawiadomiło naczelników obwodów o tem, iż tajny centralny komitet we Lwowie rozwiązany został dekretem *Rządu Narodowego* z dnia 19 sierpnia. „*Rząd (austryacki) dowiedział się ku zadowoleniu swemu, że centralny komitet nie chce się poddać temu gwałtowi zadanemu mu przez Rząd Narodowy warszawski.*“ — są słowa okólnika. Dalej podaje namiestnik spis członków lwowskiego komitetu centralnego, ażeby naczelnicy obwodów korespondencye ich i stosunki ze szlachtą poddawali najściślejszej kontroli. Zakończenie tego polecenia namiestnika jest wysoce charakterystyczne: „w sposób poufny, niewpadający w oczy, *przez szlachtę, obywateli, na których się spuścić można, trzeba wpływać na to, żeby Rząd Narodowy warszawski poniósł w tych konfliktach porażkę.* Proszę nam o tem donosić, co ośm dni“. Dlaczego rząd austryacki sympatyzował pośrednio z komitetami dowiemy się w następnym rozdziale.

W ostatnich dniach września aresztowano członków *Rady prowincyonalnej* zachodniej Galicyi. Odezwa namiestnictwa do starostów podawała w zarysie organizacyą Rady, z którego to zarysu okazuje się, że namiestnictwo dokładniej już wówczas wiedziało o organizacyi, aniżeli p. Koźmian wie o niej dzisiaj.

Kto wszedł na miejsce uwięzionych do *Rady prowincyonalnej* dowiedzieć się z materyałów, nie możemy, ale widzimy jasno, iż Rada ta w krótkim przeciągu czasu została przez Rząd rozwiązana.

Wszystkie dokumenty stwierdzają, że krok Rządu Nar. przyjęty został z zadowoleniem, że akcya poszła raźniej i energiczniej.

Kiedy pełnomocnikiem na Galicyją zachodnią został Władysław Majewski (Żaboklicki), usiłował on jeszcze wejść w układy z członkami *Rady prowincyonalnej*. Układy jednak nie skończyły się pomyślnem rezultatem, musiano widocznie znów się kłócić o autonomją, a z tego powodu Rząd narodowy postanowił wprowadzić w życie stałą własną organizacyą. Porzucił podział na wschodnią i zachodnią Galicyą, a utworzył jeden *Wydział Rządu narodowego.* Wydział ten składał się z komisarza pełnomocnego, z pięciu członków przez *Rząd mianowanych* i z sekretarza. Galicyą podzielono na trzy okręgi: lwowski, tarnopolski i krakowski i każdy okręg otrzymał swego naczelnika.

Nie mamy zamiaru kreślić dziejów działalności tej nowej organizacyi, bo nie należy

---

* Musimy zaznaczyć, iż materyały, na które głównie się powołujemy nie są bynajmniej wydawnictwem... czerwonem. P. Bronisław Szwarce wydał osobną broszurę, poświęconą krytyce czwartego ich tomu. Czytamy w tej broszurze, iż wydawnictwo to dąży do potępienia całego ruchu do wybielenia hamujących, a oczernienia działających.“ Recenzent stawia tom IV-ty na równi z pracami Moskala Berga. Z pamfletami krakowskiemi“, oraz pracami autora „Historyi dwóch lat (Z. L. S.) opartemi na źródłach rosyjskich. Wprawdzie pierwsze trzy tomy, zawierając po większej części urzędowe dokumenty, nie są przesiąknięte jeszcze tym duchem, ale pan B. S. twierdzi, że i w nich widać „ścisłą cenzurę i obcinanie tego, co jest dla b i a ł y c h nieprzychylnem, niewygodnem, albo wprost szkodliwem swoją prawdziwością“. (Wyd. Materyałów do his. powstania. Tom IV., objaśnił Bronisław Szwarce. Lwów, 1894). Wydawnictwo to zatem dla p. Koźmiana powinno być poważnem i całkiem wiarogodnem.

**) Nowy regulamin zatwierdził bez wiedzy Rządu Nar. jego pełnomocnik Józef Grabowski, co mu później wyrzucano.

do nas wyręczanie pana Koźmiana. Podaliśmy tylko w ogólnym zarysie jak się ukształtowały stosunki.

Widzimy z tego najwyraźniej, iż *Rada prowincyonalna* straciła swą władzę już we wrześniu. W zbiorze dokumentów, wydanych przez redakcyą „Materyałów“, ostatnie rozporządzenie *Rady prowincyonalnej* Galicyi zachodniej jest datowane dnia 29 września. Później znajdujemy tylko pod dniem 14 października spis długów zaciągniętych przez Radę prowincyonalną Galicyi zachodniej, po którym to spisie idą dwa listy Kazimierza Wodzickiego, naczelnika obwodu złoczowskiego, z których przekonywamy się, iż komitet wschodniej Galicyi został stanowczo rozwiązany w dniu 26 września, wskutek czego Wodzicki składa swój urząd, gdyż „nie może słuchać ślepo komisarza *Rządu Narodowego* obdarzonego nieograniczonem pełnomocnictwem.“ Już dnia 10 października występuje na pierwszy plan pełnomocnik *Rządu narodowego*, a od listopada wszystkie dokumenta pochodzą od *Wydziału Rządu narodowego na zabór austryacki*, lub też od podwładnych mu urzędów.

O tem wszystkiem, o tych wszystkich zmianach w organizacyi, o zupełnem ustąpieniu z widowni wszelkich autonomicznych komitetów, czyli Rad, nic a nic nie wie p. Koźmian.*) Dla niego *„przez cały czas wypadków“* funkcyonuje dobrze, szybko i karnie“ owa jawno-tajna organizacya, złożona z żywiołów konserwatywnych, którą tak sobie upodobał. I co wobec tego sądzić o wartości pracy p. Koźmiana, kiedy polegając tylko na własnej pamięci, nie wie nawet o tem, co się działo i jak się działo w Krakowie i zachodniej Galicyi. Po co tu prostować szczegóły, kiedy rzecz cała jest mylnie postawiona i przedstawiona. A jeżeli cały materyał faktyczny jest tak lekkomyślnie, tak błędnie zebrany, czyż można nawet wdawać się w polemikę z wnioskami wyciągniętemi z niego przez p. Koźmiana.

Książki p. Koźmiana nie oceniamy ze stanowiska jakiegokolwiek bądź stronnictwa. Nie polemizowaliśmy i nie będziemy polemizowali z zasadami autora. Już w przedmowie swojej zaznaczył on wyraźnie, że jest człowiekiem partyi, a więc nie mogliśmy wymagać od niego bezstronności. Ale mieliśmy prawo żądać, abyśmy, odrzuciwszy na bok jego zasady, spotkali się jeżeli nie już z faktami nowemi, rzucającemi światło na wypadki 1863 roku, to chociaż z takiem zestawieniem faktów, choćby już znanych, ale rozproszonych po różnych wydawnictwach, które pozwoliłyby wyrobić sobie pojęcie, jakim czynnikiem była Galicya, a względnie część jej zachodnia, a choćby wreszcie koła konserwatywne tej części zachodniej w przebiegu nieszczęśliwych wypadków.

Żądaliśmy tak mało, a jednak i tak książka p. Koźmiana zawiodła nas najzupełniej. Oprócz kilkunastu mniej lub więcej autentycznych, a często mało ciekawych anegdotek nic literalnie nic z niej się nie dowiedzieliśmy, coby mogło wzbogacić skarbnicę znanych wiadomości lub coby mogło je objaśnić. Jestto jednak strona tylko względnie ujemna. Prawdziwą ujemną stroną *Rzeczy* jest to, że tych, coby się chcieli zapoznać z przedmiotem, treścią jej będącym, do najwyższego stopnia bałamuci. Najkonserwatywniejszy konserwatysta, choćby go głaskały po sercu wszystkie wywody p. Koźmiana, choćby się upoił haszyszem pochlebstw składanych patryotyzmowi i rozumowi swego stronnictwa, jeżeli jest człowiekiem mającym własne zdanie, a nie manekinem, zajrzawszy do źródeł już wydanych i zapoznawszy się nieco gruntowniej z przedmiotem, musi przyznać zupełną słuszność naszemu sądowi.

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) P. Koźmian wie tylko tyle, że kiedy Komitet nie mógł dojść do porozumienia z komisarzem Elżanowskim, przysłano w maju Majkowskiego z którym nowa i ostrzejsza nastała wojna“. W lipcu był komisarzem jeszcze Elżanowski, ale miał przydanego Majkowskiego. Ostatnim komisarzem był Wł. Majewski, z którym komitet był do końca w najlepszej harmonji.“. Wszystko to są same bałamuctwa. Majkowski już od Maja pełnił obowiązki komisarza Galicyi wschodniej. Ustąpił całkiem z przybyciem Józefa Grabowskiego, pełnomocnika rządu, a w pierwszych dniach lipca był aresztowany. Nie mógł więc w lipcu być w Krakowie pomocnikiem Elżanowskiego i prowadzić „wojny“ z komitetem Opieramy się tu na Jarmundzie, który był bezpośrednim prawie następcą na urzędzie Majkowskiego, gdyż Mieczysław Rej tylko przez 10 dni po aresztowaniu Majkowskiego pełnił za niego obowiązki. Daty Jarmunda są wiarogodne, sprawdzone dokumentami. O „harmonji“ zaś między Majewskim a komitetem, trudno chyba mówić, jeżeli za niego całkiem komitet został rozwiązany i już od pierwszych dni października nie istniał. Wracając jeszcze do Majkowskiego powtarzamy, iż nie był całkiem komisarzem zachodniej Galicyi, a chyba na dni kilka (nie przez maj i lipiec jak chce p. Koźmian) przybył do Krakowa, może zresztą tylko z własnej inicyatywy, aby poprzeć Elżanowskiego w zatargach z komitetem.

Prywatne stosunki z muzą.

Wieczór się zbliża, słońce z pracowni uciekło, pewnie są już wszyscy w *Café Union.*

Wszedłem; jest to wielkich rozmiarów przybytek, gdzie drużyna Apellesa odpoczywa po pracowitem próżniactwie. Kilka ogromnych sal, zapełnionych bilardami, dokoła którego uwijają się roznegliżowani zlekka gracze; w pokojach pobocznych parę marmurowych stołów i stolików, setka gazet z najrozmaitszych krajów starego i nowego świata, w powietrzu tuman dymu tytuniowego. Na razie widać tylko zbity tłum głów, ale niepodobna rozróżnić twarzy. Za to słychać dobrze szelest dzienników, szybkie tasowanie kart, zamaszyste uderzanie figurami o szachownice...

Drugi rzut oka daje już rezultaty wyraźniejsze. Jeden ze stołów okrągłych obsiedli Amerykanie, inny — Węgrzy; nieopodal paczka pobratymców ze Złotej Pragi z fizyomiami dziwnie gminnemi; ci artystyczni przedstawiciele dzikiego narodu chłopów wyglądają, za pozwoleniem, jak... pachołkowie kata na staroniemieckich obrazach; rysy grube, nieprzyjemne, zarosty z dobrze rudym odcieniem, nosy, jak się należy, czerwone.

W samym kącie, między ścianą a orkiestryonem, machiną dziwnego nabożeństwa, która od czasu do czasu, nakręcona z przodku, powtarza jednę i tę samą melodyę, a pod ostrym szeregiem kolorowych czapeczek studentów, którzy tu sejmikują we dnie — rozsiedli się bracia z nad Wisły.

Zbierają się nie wszyscy. Razem z tymi, którzy napływają później od strony bilardów, dziesięciu, jedenastu. Sami knajpiarze, pół-cyganie, kochankowie muzy, przeważnie młodzi, nie zawsze szczęśliwi, ale szczerzy, otwarci, dalecy od pozowania na geniuszów. Parę pism polskich to jedna z głównych dla nich przynęt. Szkoda tylko, że wybór tych papierowych gońców z rodzinnych stron zostawiono gospodarzowi. *Riformę* medyolańską ma za jedno z *Nową Reformą*, a długi czas upatrywał najsilniejszy magnes w *Czasie* krakowskim. Ale to już należy do przeszłości.

Do kółka przyłącza się niekiedy paru intruzów. Albo dziennikarz przejezdny, jak np. pan Jan Bałamucyn z Obełgowa Gębosz, albo literat-włóczęga, czasem lekarz-rodak, zawdzięczający swą wiedzę miejscowej *alma mater*, — w Monachium znajdzie ich zawsze kilku — słowem ci wszyscy, których pociąga wesoła, bezceremonialna pogawędka, albo po prostu chęć poznania malarzy zblizka. Oni zaś, wierni tradycyi gościnności, nie odpychają natrętów. Powiedziałam nawet, że bywają im radzi, jako żywiołowi, wnoszącemu pewną rozmaitość.

A gdzież się podziewa reszta? Nigdzie i wszędzie. Łączą się w mniejsze koterye i koteryjki z ogniskami w innych lokalach publicznych. Ubożsi i akademicy wybierają mniej odległe od karawanseraju sztuki i tańsze. Zamożniejsi i rozpieszczeni względami kunsthaendlerów uważają knajpę za coś „de mauvais genre“ i przekładają winne restauracye Schleicha, Dannera lub Kurtza; w *Union* bowiem szyk i wygoda są pierwiastkami dosyć słabo reprezentowanemi. Inni znów, jak Streitt i Kozakiewicz, trzymają się gdzieś na uboczu, niewiadomi z adresów, nieznani z charakterów, temperamentów i zwyczajów...

Życia tu nigdy nie brak, prócz chyba wieczorów, gdzie jedna z osiadłych na stałe rodzin przyjmuje zwolenników damskiego i salonowego towarzystwa. Zwykle, po pierwszym akcie przy czarnej kawie, następuje drugi, znacznie dłuższy, przy kolacyi, w jednym z zakładów piwo- i jadłodajnych. Nie prędzej, aż po wchłonięciu dosyć poważnej ilości Gambrynusowego nektaru lub też i przegraniu paru pul preferansowych muza udaje się na spoczynek.

Sentymentalna pani Iza rzekła raz do mnie z wyrazem przedsmaku błogości:

— Ach, jacy to muszą być interesujący ludzie, ci malarze! Jakżebym chciała znaleźć się kiedyś w ich towarzystwie! Jestem pewna, że się ogromną korzyść wynosi...

Tak! panie niewątpliwie wynoszą korzyść; ale co do mnie, to śmiem sądzić, że tylko bardzo dobroduszna kurtuazya może ich otoczenie nazywać bezwzględnie rozkosznem i pożytecznem. Na chwałę bowiem całego grona wyznać należy, że niechętnie wdają się w rozprawy o swej karmicielce-sztuce. Każdy zdołał się przesycić rozmowami o niej prędzej, niż mu zapachniały pierwsze wianuszki sławy. Rzuceni nieraz na pastwę rynku artystystycznego, od niego zależą i jego panom służyć muszą, choćby ze wstrętem. Jak literatowi na dziesięć artykułów, podyktowanych przez mus, modę i kaprysy czytelników, co najwyżej jeden udaje się napisać *dla siebie*, tak samo i oni raz na rok stworzą płótno dla siebie.

W twórczości każdego z nich bezstronny sędzia rozróżnia dwa prądy: jeden wązki, głęboki, ukryty na dnie łożyska — to artyzm dobrowolny; drugi zaś szeroki, hałaśliwy, wartki i pryskający na wsze strony kolorową... wodą — to działalność narzucona, zewnętrzna, rzemieślnicza. To też jak robotnicy fabryczni nie lubią wspominać o całodziennej swej pracy, tak i oni radziby mówić o wszystkiem, co... nie dotyczy fabryki i mało ich obchodzi, czy kto w ich towarzystwie uczy się, czy nie.

Tak, szanowna pani Izo. Inna rzecz, czy są interesujący. Zawczasu powiadam: djablo ciekawy naród, wart dobrze spostrzegawczego oka! Zdarza się nawet często, że artysta więcej nastręcza materyału do obserwacyi, niż wszystkie jego dzieła razem wzięte. Ilu jest takich, co artyzm duszą w sobie, a nie mając go dla różnych przyczyn wewnętrznie, kładą go w mowę, uczucia, nawyknienia, słowem temperament.

Stąd też bierze mnie bluźniercza pokusa twierdzić, że organizacya malarza *dobrego* bywa daleko więcej zajmującą, niż jego produkcya. A jeśli nie, to bądź co bądź, stanowi ich znakomite dopełnienie. W tem przeświadczeniu narysowałem sobie parę szkicowych sylwetek, z których złożyło się małe album, całkiem niezależne od estetycznej wędrówki po pracowniach...

Ale... *nomina sunt odiosa*, — kto chce, niech się domyśla.

Gdybym był nowelistą, — cóżby to szkodziło niebu, że do tysiąca przybyłby jeszcze jeden? — zekłbym wtenczas do legionu swych kolegów: Jakżeście mało zbadali głębie tej nieocenionej, jedynej kopalni. Ileżeście — przepraszam za niegrzeczność, – napletli bredni, nim się z nich wyłonił jeden typ, o tyle o ile prawdopodobny? A któż raczył się pofatygować i zejść do dna duszy artysty. Czy może Sienkiewicz, którego bystre zazwyczaj i przenikliwe oko dostrzegło zaledwie markę zewnętrzną, oh! po prostu, samo cygaństwo? A może Gawalewicz ze swym zbabiałym rzeźbiarzem Morrellim, który pławi się cały w ciepłej wodzie czułostkowości, niby zmysłowe upostaciowanie okropnie starego i ohydnie nudnego równania o jednej niewiadomej: co nieszczęśliwa miłość i sztuka dadzą w rezultacie?

Ale do miłości u artystów wrócę jeszcze, bo to jedno z konwencyonalnych kłamstw, urojenie literatów...

Doprawdy, daleko poważniej brał się do rozbioru ich ducha stary, ale jary twórca *Poety i świata i Sfinksa*. On miewał oko sokole, stąd też i typy artystów jego bodaj czy do dnia dzisiejszego nie są w piśmiennictwie najlepszym pomysłem. Czy to nie wstyd dla współczesnego, tak zarozumiałego realizmu?

Co prawda, trzeba żyć długo wśród malarzów, ażeby dojrzeć ich naturę, choćby w perspektywicznem zamgleniu. Obcy i niewtajemniczony z początku dosyć słabo zrozumie samą ich mowę. Krasomówstwo, a bodaj tylko ścisły i treściwy język nie należy do ich silnych stron. Są tacy, co wyrażają więcej oczami i giestami, niż ustami, i tacy, co wydają jeno od czasu do czasu urywane, zwięzłe zdania i dźwięki. Styl techniczny uległ setkom skróceń — i wytworzyła się jakaś stenografia mowy, naszpikowana „kiczami“, „jajecznicami“, pełna „kleksów“, „płacht“, przydomków i zaklęć. A jednak oni się rozumieją wzajem doskonale i gdy zajdzie ważniejszy „ewenement“, z tych lakonicznych wykrzykników układa się wyborna krytyka, tak jednolita, jakgdyby ją wypowiedział jeden, a nie chaos dziesięciu głosów.

Cezary Jellenta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BADANIA NAUKOWE.

Stany hypnotyzmu.

II.

Halucynacya, czyli przywidzenie jest jednem z najważniejszych zjawisk hypnotycznych. Wszelka halucynacya powstaje w ten sposób, iż odpowiadający jej obraz umysłowy tak wielką zdobywa intenzywność, że towarzyszące mu prądy nerwowe dochodzą do odnośnych zmysłów i wprowadzają je w stan podobny do tego, w jakim się one znajdują podczas działania rzeczywistej podniety zewnętrznej, obraz taki wywołującej. Budząc w osobie zahypnotyzowanej pewne obrazy umysłowe, kwiatów np. lub owoców, wywołać można w jej zmysłach obrazy żywe, rzeczywiste, wszelki bowiem obraz umysłowy, zbudzony w stanie hypnotycznym, tak bywa intenzywny, iż falowania jego przebiegają po nerwach zmysłowych, aż do końcowych ich części. Obrazy halucynacyjne są dla odczuwającej je osoby rzeczywistemi, jakby w świecie zewnętrznym istniejącemi. Jeżeli to są obrazy wzrokowe, to dana osoba widzi odbicie ich w lustrze, widzi je w powiększeniu przez soczewkę i w przybliżonej odległości przez lornetkę. Obraz halucynacyjny wywołany we śnie hypnotycznym, istnieć może nawet po przebudzeniu. Karton, będący dla osoby zahypnotyzowanej lustrem, może niem być dla niej i na jawie jeszcze; wyróżni go ona z łatwością z pomiędzy innych.

Pewnej histeryczce w Salpêtrière wmówił Charcot, iż podany jej karton biały przedstawia jej portret. Karton ten zmięszany został następnie z tuzinem innych podobnych kartonów. Po przebudzeniu histeryczka odnalazła swój portret wyobrażony. Fakt ten wytłomaczyć można tylko w ten sposób, iż obraz halucynacyjny, wywołany w mózgu, kojarzy się z pewnym znakiem zewnętrznym, z pewnym punktem, lub innym jakimś szczegółem, znajdującym się na danym kartonie i że widok tego znaku, po przebudzeniu się, wywołuje uzewnętrznienie się skojarzonego z nim w umyśle poddanego obrazu. Że tak jest w rzeczywistości, sądzić można z tego, iż karton ów, na odległości dwóch metrów, przedstawił się tejże histeryczce zupełnie białym.

Loute, chemik w szpitalu Salpêtrière, poddał pewnej zahypnotozowanej histeryczce, iż klisza fotograficzna, przedstawiająca widok gór Pirenejskich, którą trzymał w ręce, jest portretem, wyobrażającym ją zupełnie nagą. Po przebudzeniu spostrzegła przypadkowo ową kliszę, a widząc się przedstawioną w stanie natury, tak się tem oburzyła, iż chwyciła ją i rzuciła o ziemię. Na dwóch próbnych fotografiach, które były już odbite, także widziała się nagą. Halucynacya ta trwała jeszcze po upływie dwóch lat. Fakt ten wymownie dowodzi kojarzenia się obrazu poddanego z przedmiotowem podścieliskiem halucynacyi, z pewnym znakiem zewnętrznym. Fotografia z białego nawet kartonu, z którym związano poddany obraz imaginacyjny, wywołać może, równie tak samo jak i karton, halucynacyę, jak to sprawdzili A. Binet i K. Féré, lekarze z Salpêtrière. U wielu osób halucynacya hypnotyczna trwa jeszcze czas jakiś po przebudzeniu, osoby te jednak nic nie pamiętają, jakim poddawano je próbom podczas snu hypnotycznego. Nie dowodzi to bynajmniej, ażeby pamięć miała być bezczynną, jakby wykreśloną z umysłu w stanie głębokiego somnambolizmu. Ślad, jaki wszelkie wrażenie odczuwane pozostawia po sobie, istnieje w pamięci. Jeżeli wrażenie to nie dochodzi do naszej świadomości tj. jeżeli nie przypominamy go sobie, to dla tego tylko, że brak nam podniety do zbudzenia jego śladu, do wprowadzenia go w stan czynny.

Wiadomo, iż nasze widzenia senne bywają zwykle zapominane, jeżeli nie opowiemy ich po przebudzeniu komukolwiek. Widzenia, wywoływane w głębokim śnie hypnotyzmu, zapominane bywają jeszcze prędzej, zwykle w chwili przebudzenia, jeżeli nie postaramy się przeprowadzić pewnego rodzaju mostu pomiędzy stanem hypnotycznym a stanem czuwania, jak np. poddanie osobie zahypnotyzowanej wyobrażenia, iż po przebudzeniu zachowa zupełną pamięć tego, co się z nią stało w stanie uśpienia.

Amnezya, czyli sparaliżowanie pamięci następujące po głębokim śnie hypnotycznym bywa tylko częściowem; poraża ono tylko pamięć przypominania, pamięć zachowawcza pozostaje prawie nienaruszoną, nowy bowiem sen hypnotyczny budzi zwykle wspomnienie zupełne tego, co zdawało się zatraconem w stanie czuwania. Zaburzenia pamięci, będące w zależności od somnambulizmu, bywają więc głównie, jeżeli nie wyłącznie, powierzchownemi.

Jeżeli zgodzimy się na to, że halucynacya związaną bywa zawsze z pewnym znakiem zewnętrznym, który ją wywołuje, w takim razie znika dla nas zasadnicza różnica, uznawana dotychczas przez niektórych psychologów, pomiędzy halucynacyą a iluzyą. Różnica ta polegać ma na tem, że iluzya posiada zawsze realne podścielisko w postaci jakiegoś przedmiotu rzeczywistego — podścielisko, jakiego brak halucynacyi. Tymczasem właściwa różnica sprowadza się do tego, że znak zewnętrzny, z którym się wiąże halucynacya i który bywa rzeczywistem jej podścieliskiem, zastąpionym zostaje w iluzyi przez cały przedmiot, taką samą zupełnie jak ów znak odgrywający rolę. Iluzya nie bywa tak stałą jak halucynacya, ulega ona zmianom odpowiednio do zmian złożonego jej podścieliska.

Poddawanie rozkazów na odległość czasu może być do pewnego stopnia porównywane z halucynacyą. Jak znaki zewnętrzne służą za podścielisko halucynacyi, tak podobnie i daty czasu, budzące się w oznaczonej chwili w pamięci, są podścieliskiem poddanego rozkazu. Halucynacye jednostronne mogą być przenoszone za pomocą magnesu tak samo jak skurcze i paraliże histeryczne. Halucynacye jednak wzrokowe n. p. jednostronne, przenoszone pod wpływem działania magnesu na drugą stronę ciała, nie bywają symetrycznemi jak skurcze. Portret halucynacyjny, zwrócony profilem na prawo, widziany prawem tylko okiem, pozostaje zupełnie niezmienionym po przeniesieniu halucynacyi na lewą stronę pod wpływem magnesu. Magnes działa również na halucynacye obustronne, na pewne wrażenia, wspomnienia i t. d. znosząc je zupełnie i wywołując odpowiednie paraliże psychiczne. Podobnie jak magnes działa także poddawanie słowne.

Dr. Antoni Złotnicki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA.

4 grudnia.

Sufragan krakowski. — Dom Matejki. — Krużganki dominikańskie. — „Kiliński“ w teatrze. — Goplana.

Jednocześnie z nominacyą ks. Puzyny na biskupa krakowskiego, pojawiły się w dziennikach wzmianki, iż biskupem sufraganem lwowskim zostanie na jego miejscu ks. Józef Pelczar, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, autor dzieł teologicznych i trzytomowego życiorysu Piusa IX-go, kanonik katedralny, prezes Towarzystwa Oświaty ludowej itd. Obecnie jednak pogłosce tej w tychże samych dziennikach zaprzeczono, podając natomiast jako rzecz niewątpliwą, że ks. Pelczar powołanym będzie na biskupa-sufragana krakowskiego. Dzienniki wiedzą nawet jaką nowy sufragan będzie pobierał pensyą. Dotychczas (nie mówię o niedawnej przeszłości, lecz o latach ostatnich) biskup krakowski nie miał sufragana. Dyecezya, zmniejszona przez utworzenie z jej części osobnej dyecezyi kieleckiej, była bardzo małą i mało też dawała czynności swojemu pasterzowi. Rząd austryacki nawet całkiem obchodził się bez biskupa krakowskiego, bo od czasu jak wywieziono zacnego biskupa Skórkowskiego do Opawy, rządzili dyecezyą przez lat kilkadziesiąt administratorowie, biskupi *in partibus infidelium*. Dopiero od nominacyi śp. kardynała Dunajewskiego przestano pisać w rubrycelach krakowskich: *Episcopus-vacat*. O sufraganji krakowskiej zaczęto mówić już przed kilku laty, kiedy rozszerzono znacznie granice dyecezyi kosztem dyecezyi tarnowskiej. I tak jednak dyecezya nie była i nie jest zbyt wielką: motywami więc głównemi, które miały wpłynąć na dodanie śp. kardynałowi biskupa-sufragana, były: podeszły wiek ks. Dunajewskiego i jego wysoka dostojność w Kościele, która wymagała, aby miał pomocnika do załatwiania mniej ważnych czynności biskupiego urzędu. Motywy te ze śmiercią ks. Dunajewskiego ustały, bo nowy biskup ani nie nosi kardynalskiego kapelusza, ani też nie znajduje się jeszcze w latach sędziwych. Logicznie więc biorąc, kiedy ociągano się z nominacyą sufragana przy ks. Dunajewskim, wątpliwem być powinno, aby dano sufragana ks. Puzynie. Może być jednak, iż dzisiejszy biskup nominat krakowski, który jak wiadomo nie chciał w pierwszej chwili zgodzić się na objęcie krakowskiego tronu biskupiego, wymówił sobie, iż otrzyma pomocnika i że zostanie nim ks. Pelczar.

Jak wiadomo zawiązał się na początku rb. komitet celem zakupienia domu Matejki i urządzenia w nim muzeum jego imienia. W tych dniach odbyło się posiedzenie tego komitetu, na którem dyrektor Slęk zdał sprawę ze stanu funduszów. Gotówka wynosi niecałe 12,000 złr., a subskrypcya blizko 6000 złr. Dodawszy do tego subwencyę rządową w kwocie 5000 złr., komitet rozporządza kwotą 23,000 złr. Nie wiadomo jeszcze o ile przyczynią się subwencyami Rady powiatowe i miejskie, oraz instytucye finansowe, do których rozesłano odezwy. Kwota 10,000 złr. udzielona przez Sejm ma specyalne przeznaczenie; zakupione za nią będą szkice, rysunki

historyczne, stroje, rynsztunki, przybory i meble z pracowni, słowem spuścizna pamiątkowa i artystyczna, pozostała po Matejce. Komitet postanowił założyć Towarzystwo imienia Matejki, na wzór podobnych Towarzystw, istniejących za granicą (np. Dürera w Norymberdze). Towarzystwo to objęłoby fundusze dotychczas zebrane i dalej rzecz prowadziło.

W teatrze wystawiono znanego już u was „Kilińskiego“. Zdawałoby się, iż sztuka pełna patryotyzmu, napisana na setną rocznicę powstania Kościuszkowskiego, przedstawiająca najświetniejszą chwilę mieszczaństwa polskiego, jeżeli gdzie, to w Krakowie cieszyć się będzie niezwykłem powodzeniem. Stało się zupełnie inaczej. Kiedy na lada miernotę francuzką lub niemiecką pędzi cały Kraków, na sztuce patryotycznego pisarza, na sztuce, że tak powiem, aktualnej, tak na pierwszem, jak i na drugiem przedstawieniu teatr był zaledwie w połowie zapełniony. Gdyby to miało być probierzem patryotyzmu mieszkańców Krakowa, smutnie by się ten patryotyzm przedstawiał. Przypuśćmy więc, że zaszło tylko jakieś nieporozumienie, że za mało dzienniki o sztuce tej przed jej wystawieniem pisały, starajmy się jednem słowem szukać wybiegów, aby ratować ów patryotyzm, „leżący na dnie serca“. Tylko nie zapominajmy, że go zbyt często wymówkami ratować musimy, że gdzie nie ma prezesów, wiceprezesów i wydziałowych patryotyzmu, tam prawie zawsze są pustki, nietylko w teatrze. Zaczynamy być podobni do mieszkańców Częstochowy, co to żyją z pobożności i sprzedawania poświęcanych przedmiotów, ale jak wiadomo sami świętymi i pobożnymi nie są. Wszyscy się garną do Krakowa z patryotyzmu, ze wszech stron sypią się ofiary na instytucye krakowskie, a my tylko od czasu do czasu urządzamy jakąś uroczystość, aby ściągnąć ludzi do Krakowa, aby handel szedł!...

Wracając do przedstawienia „Kilińskiego“ podnieść trzeba, iż ze strony przedsiębiorcy teatralnego wszystko zrobiono, aby sztuka słabo wypadła. Kiedy nie żałuje się pieniędzy na wystawę rozmaitych bomb i dramideł obcych, dla „Kilińskiego“, wymagającego z natury rzeczy pięknej wystawy, żałowano każdego grosza. Dano tylko jednę nową, w parę dni nasmarowaną dekoracyę, nie sprawiono prawie żadnych ubiorów, nie postarano się nawet, aby był tłum na scenie, kiedy go potrzeba. Ztąd śmiesznem było po prostu, kiedy ze sceny rozchodziły się oddziały z pięciu lub sześciu statystów dla zajęcia stanowisk w głównych punktach Warszawy. Czuć było lekceważenie dla utworu, który, dobrze wystawiony, mógłby należeć do sztuk najpopularniejszych.

W dniu wczorajszym usłyszeliśmy na koncercie Wł. Żeleńskiego ustępy z jego „Goplany“. Było sporo wieńców i bukietów, ale mało entuzyazmu. Jako profan sądu o dziele Żeleńskiego wydawać nie mogę, tem więcej, iż trudno ocenić operę z wyjątków odśpiewanych na estradzie koncertowej.

K. Bartoszewicz.

Z estrady i sceny.

Król Lear.

Gdym w ubiegłym tygodniu charakteryzował światła i cienie talentu p. Leszczyńskiego, sądziłem jeszcze, że nie prędko pożegna nas warszawski artystka. Pragnąłem widzieć go w *Ferreolu*, w *Honorze i Śmierci cywilnej* a z takiego materyału uzupełnić mój szkic krytyczny, — kontury barwą ożywić. Nadzieja zawiodła. Powołany telegraficznie do Warszawy, aby w „Półświatku“, pierwszej sztuce pożałobnego repertuaru, zająć miejsce swoje, zdążył pan Leszczyński z całego szeregu zapowiedzianych kreacyi jednego „Leara“ wprowadzić na deski poznańskie.

Lękałem się nieco sobotniego przedstawienia, a obawy moje podzielała publiczność. Wiedziano powszechnie, że artyści nasi, którym starym zwyczajem role dopiero w ostatniej chwili rozdano, uginają się pod ciężarem pracy, wiedziano, że grono ludzi, które w przeciągu dni dziewięciu wystawiło „Otella“, „Poskromienie złośnicy“, „Syna puszczy“, „Mazepę“ i Graybnerowską „Irenę“, musiało noce trawić na studyowaniu ról, a dnie całe na próbach, i wobec tego oczekiwano z pewnym sceptycyzmem sobotniego wieczoru. Obawiano się wyczerpania artystów i obawiano wystawy, której nieudolność i niedbałość stała się nieomal przysłowiowem zjawiskiem w Poznaniu. Przewidywania te spełniły się poniekąd. Dyalogi haczyły się bezustannie, w ensemble'ach znać było niepewność i ambaras, a głos suflera rozlegał się chwilami donośnie w całym teatrze. Były takie momenty, że najdramatyczniejsze sceny wywierały wrażenie komiczne z powodu rozpaczliwych spojrzeń w głąb budy suflerskiej i szeptanych nawoływań: „Co dalej? No jedźże!“ etc. Wystawa natomiast była staranniejszą niż zwykle, — dekoracye dobrze dobrane i ułożone, efekty muzyczne wykonane dokładnie, akompaniament burzy ubrany w cechy prawdopodobieństwa, a kostyumy świeże i stylowe. Staranność taka jest na scenie poznańskiej prawdziwą niespodzianką i dla tego pospieszam ją zanotować w rubryce uznania, stojącej tak często pustkami mimo całej względności krytyka.

Gdyby jednak nagie tylko kulisy sterczały na scenie i gdyby tak jak za czasów Szekspira chaty, góry i drzewa markowano jedynie tablicą na drągu z napisem: „Tu ma być chata, góra lub dąb rosochaty“ — to i wtedy ten Lear w oddaniu p. Leszczyńskiego pozostałby potężną kreacyą. Chwilami istotnie była to gra porywająca. Mówię — „chwilami“. Nie wiem bowiem, czy warszawski artysta nie opanował pamięciowo swej roli, czy też studyował ję według innego opracowania, czy wreszcie pomoc suflera była niedołężną, — dość, że w scenie obłąkania, gdy przekleństwo króla walczy o lepsze z gromem i wichurą, a potem halucynacya umysł mu zaciemnia, nie mogłem oprzeć się wrażeniu bezustannego ambarasu, Oczywiście ambaras ten oddziaływał ujemnie na artystyczny całokształt kreacyi. Borykając się z pamięcią, nie mógł artysta skupić całej uwagi na grę swoją, nie akcentował miejscami dość silnie, nie wyzyskiwał niektórych momentów, nie rozwijał całej potęgi głosu. Gdzieniegdzie nawet powtarzał dwukrotnie całe frazesy lub milowemi przestankami obniżał nastrój dramatyczny.

Tak! Tu było pół Leszczyńskiego, — Leszczyński cały zabłysnął przed nami dopiero w dwóch ostatnich odsłonach, a mianowicie przebudzenie ze snu długiego i śmierć nad zwłokami Kordelii stanowiły prawdziwe arcydzieło sztuki dramatycznej. Widziałem warszawskiego artystę, trzykrotnie umierającego na scenie: w Otellu, Irenie i Królu Learze, a za każdym razem umierał inaczej, indywidualizując dokładnie poszczególne rodzaje śmierci. Gdy jako murzyn Szekspirowski gardło sobie poderznął i krwią się zalewał, gdy podskakując całem ciałem wlókł się na schody ku łożu Desdemony, to w tem konaniu było coś zwierzęcego jak cały Otello, — jakiś ostatni kurczowy wysiłek bestyi śmiertelnie ranionej. A gdy na scenie, przeszyty kulą przeciwnika, konał mąż Ireny, to w bolesnej agonii było serce ludzkie. Może tej sceny walki przedśmiertnej nie skąpał artysta w atmosferze klinicznej, może ta scena nie odtworzyła z fotograficzną wiernością astmatycznych jęków, które powoduje przerwanie „arteryi międzyżebrowej“, ale zdaje mi się, że rezerwa w tej właśnie scenie była pożądaną. Posunięcie realizmu do ostatecznych granic mogło tu popsuć dramatyczność całości i odwrócić uwagę widza od psychologicznej ewolucyi Ireny.

A jakże odmienną znowu była śmierć tej legendowej postaci królewskiego starca, któremu zagasł ostatni blask słońca, ostatnia córka padła z ręki katów. Tyle się ten Hiob Szekspirowski nacierpiał, tyl gromów uderzało w ten dąb wiekowy, żee był on cały jak gasnąca lampa. I głaszcząc wychudłą ręką złotowłosą główkę Kordelji umarł tak cicho jak by się do snu ułożył. Żadnych dreszczów, żadnych kurczów przedśmiertnych, — padł wyczerpany u kresu szczęścia ludzkiego.

Widziałem Modrzejowską konającą w „Damie Kameljowej“, widziałem śmierć Rossiego w Ludwiku XI i Salviniego w roli Corrada, a bez przesady dziś Leszczyńskiego do owych mistrzów scenicznej agonii zaliczyć mogę.

A przytem jaka duma królewska i nadludzka groza wiały z tej postaci! Musiałeś wierzyć, że to „król w każdym calu“ i że przekleństwa jego staną się zniszczeniem.

Z innych artystów wymieniam przedewszystkiem pannę *Helenę Zimajer*, która już stylową w najdrobniejszych szczegółach tualetą dowiodła, że z pietyzmem przystępuje do Szekspirowskiej kreacyi. Była to Kordelja owiana jutrzenkowym urokiem poezyi — była to wielka cisza duszy słonecznej, gdzie nieme usta kryją miłość i słodycz gołębią. W grze panny Zimajer nie było ani jednej nuty fałszywej. Wszystko kąpało się tu w smutku i czarującej prostocie.

W dyskretnym półtonie połączone barwy pieściły oko, — w półdźwięk rzewnego liryzmu zlewały się słowa i westchnienia, — i szło to dziewczę jak tchnienie miłości przez scenę. Panna Zimajer jest w kierunku liryki dramatycznej wybitnym talentem i cennym nabytkiem dla poznańskiej sceny.

Demoniczne role Goneryli i Regany odtworzyły p. p. *Wróblewska i Trzcińska*, z których pierwsza naszkicowała artystycznie charakter kamienny i zimny, druga natomiast nie dorosła trudnemu zadaniu i zamiast królewny o brutalnych instynktach ukazała nam rozkapryszoną gąskę. Jakiś mars jednostajny przyrósł do twarzy młodej artystki, a deklamacya była wymuszona, miejscami fałszywa. Z przedstawicieli ról męzkich należy się w pierwszym rzędzie uznanie p. *Królikowskiemu* w roli Edgara i panu *Trapszy* w roli błazna. Pierwszy scenę obłąkania oddał z porywającą prawdą, drugi uniknął szczęśliwie płaskiego komizmu i ani na chwilę nie zapomniał o tem, że błazen — filozof jest człowiekiem serca. Z innych artystów zasługują na uznanie p. p. *Skirmunt i Sosnowski*, których gra była umiejętnie cieniowaną, szlachetną i silną. Pan *Benza* w krótkiej roli herolda wywierał wrażenie żaka, deklamującego źle zapamiętaną lekcyę gramatyki.

W końcu nadmieniam, że utwór Szekspirowski został tak niemiłosiernie i niezręcznie obcięty i polutowany, że kto „Leara“ nie czytał, ten „Leara“ z sobotniego przedstawienia nie poznał. U nas w Poznaniu obchodzą się z Szekspirem jak z farsą trzeciorzędną.

W. R.

NA WYŁOMIE.

(„Szubrawcy“. Czemu „Kur Pozn.“ lęka się pisma humorystycznego? Studenci niemieccy i niemiecka przyszłość.

Nowa era rozpoczyna się w „Kuryerze Poznańskim.“ Posłuchajcie! „Najserdeczniejszy“ z przyjaciół moich rozpoczyna druk nowej powieści Gawalewicza p. t. „Szubrawcy“ i tak reklamuje ten utwór warszawskiego pisarza:

„Będzie to jeden z najlepszych utworów powieściowych znakomitego, a tak słynnego autora „Mechesów“, W „Szubrawcach“ ma autor na celu ideę społeczno-obywatelską zreflektowania opinii publicznej, *aby zerwała z wygodnym ale niegodnym oportunizmem i kierowała się według zasad a nie osobistości.*“

Brawo! Jako szczery wielbiciel talentu Gawalewicza nie wątpię ani chwili, że utwór jego spowoduje prawdziwą rewolucyę w Ku-

ryerowym warsztacie. Lękając się jednak krótkiej pamięci redaktorów obecnych, proponuję, aby nad biurkiem przybili marmurową tablicę i na niej złotemi literami wypisali słowa następujące: „*Oportunizm jest metodą niegodna i biada temu, kto nie według zasad, lecz osobistości kierować się będzie*“. Chwilowo jeszcze idea „Szubrawców“ w redakcyi „Kuryera“ jest tylko słowem, — dźwiękiem oderwanym — błyszczącem klinklinem na pospolitem tle faryzeizmu. W tej samej rubryce, w której wyżej cytowane słowa tak sympatycznem ozwały się echem, spotykamy codziennie nieomal dowody innej etyki, nie licującej dziwnie z ideą Chrystusową i stwierdzającej bezustannie, że *ortodoksya* i moralność to dwa odmienne pojęcia, że druga nie jest naturalnem dziecięciem pierwszej, że można uznawać wszystkie dogmaty kościelne, krzyżem leżeć, włosiennicę nosić, różaniec odmawiać i na sposób francuzkich bigotek łykać wizerunki świętych Pańskich na kawałkach żelantyny, a mimo całego rozmodlenia urągać czynem promiennej idei Nazareńczyka. Nie wiem, czy „Kuryer“ takiego rozgraniczenia nie poczyta mi za herezyą, a przecież mógłbym temu ortodoksowi przypomnieć fakty i fakciki, kwalifikujące go żywcem do tłumu cynicznych bohaterów Gawalewicza. Świeżo jeszcze wpadła mi w oczy krótka notatka, stanowiąca tło charakterystyczne dla etycznych postulatów nowej powieści. Oto „Kuryer Pozn.“ donosi, że od Nowego Roku wychodzić zacznie w Poznaniu „Tygodnik humorystyczny dla inteligencyi p. t. Djabeł“ — a do ogłoszenia tego przypina taką kokardę: „*Zobaczymy co to będzie za nowy dziwoląg*.“ Numer okazowy poznańskiego „Djabła jeszcze się nie ukazał i nie wiadomo nawet dotychczas, kto będzie redaktorem i wydawcą, bo codziennie inne wymieniają nazwiska, — a już nasz klerykalno-lojalny protagonista rzuca anathema: Dziwoląg! Ha! może tytuł „*piekielny*“ przeraził ojców Kuryerowych. — może nikt w Świętomarcińskich kuźniach nie prosił o „Imprimatur“ — i zgrzytnęła senatorów zgraja, że ktoś bez ich sankcyi i wiedzy ośmiela się nową redakcyą budować. A może jest to fatalne przeczucie, że wynurzający się z mgieł grudniowych tygodnik humorystyczny roześmieje się na całe gardło, gdy ktoś mówić zacznie o sternikach poznańskiej opinii. — że z girlandy fałszywych autorytetów uwije sobie wspaniałą winietę. Jeden z najwybitniejszych nowelistów polskich, bawiący przed niedawnym czasym na bruku naszem, mówił mi nieraz z smutnym uśmiechem, że na poznańskim gruncie humorystyka krzewić się powinna jak trawy na stepie lub liany w lasach dziewiczych. I tak go ta myśl podniecała, że zrywał się z fotelu, wyciągał ręce ku mnie i wołał z gorączkowym rumieńcem na twarzy: „Ci wasi ludzie, ci wasi króle i kacyki to materyał niezrównany dla Juvenalów, Persiuszów, Lamów i Rodociów. Nie! tu nawet talentu nie potrzeba. Fotografujcie żywcem, bez artyzmu, a stworzycie arcydzieło śmiechu. Operetka! Operetka taka. — że aż łzy wyciska.“

Czyżby „Kuryer Poznański“ lękał się humorysty i satyryka? Czyżby przypuszczał, że w zaczarowanem kole prywaty ciemnoty i nietolerancyi znajdzie go Chochlik złośliwy, i zamiast kuć sztuczne dowcipy, przedrukuje żywcem artykuły jego? Bądź spokojny przyjacielu! Jeżeli idea „Szubrawców“ stanie się istotnie dewizą Twoją, wtedy bicz satyry, uwity z żółci, ironii i łez serdecznych, ciebie nie dosięgnie.

A gdy już mowa o „Szubrawcach“ myśl mimowoli cofa się w owe pamiętne wileńskie czasy, gdy to samo imię stroiło grono młodzieży pełnej zapału, patryotyzmu i blasków humanitarnych. O! takich „Szubrawców“ dziś już wśród młodych pokoleń znajdziesz niewielu. Powiał prąd zimny po Europie starej i wystudził serca do szczętu — to, co było lawą, dziś jest żużlem wypalonym. Lecz nie nas samych ten chłód owionął lodowy, bo skarga na wyziębienie i skarłowaciałość młodzieży odzywa się na wschodzie i na zachodzie tysiącznem echem, — słychać ją w całej literaturze europejskiej, głośną i potężną. Bierze mnie jakaś chęć nieprzeparta, aby tę skargę w ślinę zamienić i cisnąć ją dzisiaj w oczy niemieckim studentom. Wnuki tych wielkich bohaterów wolności, którzy w 48 roku entuzyazmowali się ideą Polski niepodległej, — potomkowie Uhlandów, Mosenów i Malwitzów, śpiewających słoneczne pieśni „*von Freiheit und Maennerwuerde*“ — synowie tej *Alma mater*, która niegdyś rozbrzmiewała chórem dążeń humanitarnych i braterstwa ludów, dziś zapisują się w szeregach akcyonaryuszów osławionej spółki: *Kenne*, *Hanse*, *Tiede*. Studenci z Karlsruhe odmawiają swym polskim kolegom równouprawnienia i rykiem zwierzęcym zagłuszają tych, którzy w piekielną muzykę szowinizmu swoje „Liberum veto“ ciskają, a młodzież akademicka Lipska, Wrocławia, Berlina i Bononii głosem tryumfu wita trzech pionierów europejskiego barbarzyństwa. *Gaudeamus igitur!* Ciesz się ekskanclerzu niemiecki z Warcina, bo na urodzajną glebę padły ziarna twoje. Wyhodowałeś sobie olbrzymie wojsko młodzieży, które nie o „wolności, równości i braterstwie“ marzy, lecz zgrzyt Bismarkowskiego „Ausrotten“ niesie w polskie ziemie. Wyhodowałeś sobie pokolenie tatuowane rapirowym scyzorkiem, z hektolitrem piwa w żołądku, pustkami w mózgu i próżnią cyniczną w pokurczonem sercu. Wyhodowałeś sobie potomstwo wiernych brytanów, zdusiwszy wpierw w młodych duszach wszelkie instynkty ludzkie i zgasiwszy gwiazdy, rozsute niegdyś na germańskiem niebie. Ciesz się, o! książe żelazny, bo oto! syny twoje płaszcz królewski uwity z kwiatów wiosennych z ramion swoich zdzierają, depcą go nogami, i w pruskiej Pikelhaubie, z toporem krzyżackim w ręku, święcą orgją szaloną politycznego ucisku.

O! tak, ciesz się, mój książe! lecz cóż się stanie kiedyś z narodem, którego młodzież stała się „szubrawcem“, — ale nie wileńskim. Nie patrz ty w przyszłość, — bo może ujrzysz to samo, co niegdyś Henryk Heine w tajemniczym fotelu.. „powąchał“.

Sulla.

Wolne głosy.

Sclavus saltans.

Nareszcie! nareszcie wśród chóru głosów rozsądnych, poważnych, odezwał się jeden — nie, dwa głosy polskie, w których zadrgała cieplejsza nuta, których dźwięk nie jest tak martwy i suchy, jak gdyby z drewnianej piersi pochodził. Więc nie wszyscy i nie wszystkie jeszcze zapomniały, że po za smutną naszą teraźniejszością mamy przeszłość w mogile złożoną, że jesteśmy sierotami wśród rodziny europejskich ludów, że matka nasza w grobie spoczywa i że — co najstraszniejsza — myśmy ją przed stu laty sami do grobu wpędzili. — Większość tak dokładnie zapomniała o tej tragedyi naszych losów, tak mało zdaje sobie sprawę z obecnego sieroctwa i niewoli, że kajdany, obciążające nasze ręce, gotowa uważać za bransoletki — a rocznicę wielkiego pogrzebu balem obchodzić.

To też, dzięki ci, siostro Wielkopolanko, że z serca płynącym protestem zamanifestowałaś uczucie, które w duszy każdej Polki panować powinno — i Tobie Sullo dzięki, żeś protest ten poparł, że głos kobiecy nie był jedynym dźwiękiem żalu i uczucia wśród chóru monotonnych i pustych frazesów. Przypuśćmy, że nie większość, lecz ogół będzie przeciw nam; przypuśćmy, że my troje, — Wielkopolanka, — Pan i ja będziemy jedynemi dziećmi ojczyzny, które na jej grobie łzę uronią, to jeszcze i wtedy tej łzy ukrywać nie mamy prawa, to jeszcze wtedy obowiązkiem będzie naszym wzywać do żalu i pokuty; a choćby głos nasz miał wołać na puszczy — to lepszy jeden jęk taki niż zupełna martwota, cisza — śmierć zupełna.

Tak źle jednak nie jest. List Wielkopolanki pozwala mi wierzyć, że między tymi co milczą, że może choćby wśród kobiet, którym zaraza dyplomacyi serc nie wystudziła, znajdzie się niejedna istota niezdolna zagłuszać sierocego żalu dźwiękiem muzyki balowej. Jeżeli nie ma już Polaków, to może jednak są jeszcze Polki. — Jeśli nie ma Polaków, mówię, bo czytając w pismach owe jednomyślne — czy bezmyślne, głosy wytrawne, — zaczęłam wierzyć, że istotnie pozostali nam już tylko Prusacy mówiący po polsku.

Doczekaliśmy się istotnie dziwnego bardzo w życiu naszego narodu zjawiska. W r. 1895 — w stuletnią rocznicę naszej śmierci ogłoszono, iż tańcem objawimy nasz rozum polityczny. — Zawsze wierni tradycyom, nie nauczyliśmy się niczego nowego. — Sto lat temu — kiedy patryotyzm Polski ranami okryty w niewoli jęczał lub szedł na wygnanie, gdy zwyciężała zdrada, i wrogów na kraj naprowadzając zdobywała ordery i tytuły, gdy król wiarołomny składał koronę i stawał się rezydentem carowej — tańczyliśmy także — a na wielkim pogrzebie narodu — wesołe wyprawialiśmy stypy. Kilka serc gorętszych pękło podobno; kilka umysłów wznioślejszych szaleństwo opanowało, ale ogół — tańczył. — — — Może to tę pamiątkę obchodzić mamy?

A może sięgniemy jeszcze dalej. Może wracamy do tradycyi owych tańczących niewolników, którzy starych Rzymian wśród uczt rozweselali? „Sclavus saltans“ oto typ odwieczny, widmo, które nieustannie w dziejach naszych powraca, bolesne wcielenie naszego narodowego ducha.

My jednak lubimy obchodzić nasze historyczne rocznice. Kiedy chodzi o upajanie się wielkością minioną, o ukrywanie naszej karlej nicości, pod płaszczem chwały i zasług naszych przodków, wtedy pamiętamy daty dziejowe. Rocznice takie dały nam pole do wygłaszania tylu mów szumnych, tylu wspaniałych toastów, że niejeden pod ich wrażeniem wracał do domu tak dumny, — jak gdyby on sam pobił Kara Mustafę lub na Moskalach armaty zdobywał. Ale kiedy przychodzi data najważniejsza, a tak rozdzierająco bolesna, dzień, w którym się nad nami wieko trumny zamknęło, wtenczas my uważamy za słuszne przemilczeć i zapomnieć — zalać robaka szampanem, stłumić wyrzut sumienia tańcem, bo tak nakazują roztropność i dyplomacya.

Nie, panowie poważni; żadne sofizmaty polityczne nie dowiodą nam, aby w r. 1895 taniec był rzeczą potrzebną, rozsądną i przyzwoitą.

Wstrzemięźliwość nasza w tym względzie nie rozdrażni żadnego rządu, — gdyż żaden rząd od nas wesołości nie wymaga. — Musimy pełnić obowiązki poddanych, musimy ulegać narzuconym nam prawom, żądają od nas posłuszeństwa, wierności, bronią nam skarg zbyt głośnych, i każą może wyprzeć się wszelkich nadziei; — ale nawet pod rosyjskim rządem nie żądają i nie nakazują balów i wieczorów.

To też ta jedyna bierna demonstracya, mogłaby ogarnąć wszystkie dzielnice Polski, zjednoczyć wszystkie sieroty siedmkroć zabitej i być jednogłośnym wyrazem uczuć narodu pogrobowców. — Ale my nigdy już nawet w duchu zjednoczyć się nie możemy; choć język wspólny nam pozostał, przestaliśmy się rozumieć; gdyż czujemy inaczej. I oto w roku nadchodzącym, kiedy Warszawa, Litwa, cały zabór rosyjski w bolesnych pogrąży się rozmyślaniach, my wesoło tańczyć i hulać będziemy. Za tę dojrzałość polityczną nasi najserdeczniejsi odpłacą nam dobrze zasłużoną pogardą i zupełnie słusznie ocenią, że los nasz jest aż nadto zadawalniającym, bośmy lepszego nie warci. — Tak nam przecież wesoło w niewoli! — Sclavus saltans! — A jednak, ośmielam się zaproponować, aby każdy Polak wziął w tych dniach do ręki pierwszy lepszy podręcznik historyi, — i odczytał dzieje ostatnich przedrozbiorowych chwil.

Są tam takie karty, których spokojnie czytać nie można, przy których oczy łzami zachodzą, i rumieniec wstydu czoło zalewa. — Tyle tam lekkomyślności, prywaty, egoizmu — zdrada taka bezczelna, śmiała, potężna, — patryotyzm taki miękki, chromy, bezsilny! Obrońcy świętej sprawy tacy ostrożni, lękliwi, — zdrajcy tak śmiało wytarte czoła do góry podnoszą i mitrami książęcemi zdobią! — Gadano tak wiele — zrobiono tak mało! Słowem, frazesem, wykrzyknikiem szafowano tak hojnie — a krwi i pieniędzy szczędzono. Kto wołał „broń złożyć!“ tego słuchano bez protestu, — kto krzyknął: „do broni“, temu odpowiadało echo wśród ciszy głuchej.

Jeśli po przeczytaniu tych dziejów będziemy mieli do tańca humor i ochotę, to, zaprawdę, prócz żałobnych obwódek z dniem 1 stycznia, pisma nasze na naczelnem miejscu umieścić powinny krzyż czarny z napisem „Finis Poloniae“, a karnawał nasz będzie rodzajem „danse macabre“, tańcem śmierci.

Zresztą nie ma przecież nic łatwiejszego niż nie tańczyć; a jednak to już do zaznaczenia smutku wystarcza. Czarne suknie, krepowe welony są rzeczą dodatkową i zbyteczną.

Niepotrzebujemy również zamykać teatrów, odrzekać się koncertów; co innego hulanki — co innego sztuka.

Może mi ze strony wytrawnej dyplomacyi zarzucą nieuwzględnianie natury ludzkiej? „Młodość ma swoje prawa“, mówią, i mają słuszność. Aleć kto jest dziś młodym, ten się przez rok nie zestarzeje, a dalej, jeśli młodość ma swoje prawa, to należy je uwzględniać w całej rozciągłości, a nadewszystko należy szanować jej najświętsze najcenniejsze przywileje.

Potrzebą serc młodych jest cześć dla ideału, śmiały, polot ducha niekrępowanego dyplomatyczną kombinacyą i politycznym wybiegiem. Młodzi potrzebują kochać, wierzyć, walczyć, oddychać pełną piersią i żyć pełnem życiem. Młodość nie mieści się w ślimaczej skorupie egoistycznych interesów i trosk powszednich; musi mieć przed oczami cele wzniosłe, choć dalekie.

Te właśnie najświętsze prawa młodości, Wy, panowie dyplomaci, poniewieracie i depczecie z bezlitosnem okrucieństwem. — Wy, przecież, posiwiali w życiowej walce, znacie świat i wiecie, co czeka w przyszłości te niedorosłe zastępy, które się na przebytą przez was wybierają wędrówkę; wiecie ile to wśród niej uczuć ginie, ile skarbów ducha roztrwonić trzeba i poświęcić, aby okupić choć jeden krok naprzód. Wiecie, jak od tych wysiłków mdleją członki, jak się grzbiet chyli ku ziemi, ile razy zniechęcenie ogarnia, duch słabnie i zamiera, zanim się znów dźwignie i do dalszej drogi jest zdolny.

Jeśli wiedząc to wszystko, młode serca studzić, ziębić, mrozić będziecie, toć one zamrą w pół drogi, jeśli młodym skrzydła obcinacie, to na starość pełzać będą, a jeśli obdzieracie ich już dziś ze wszystkich skarbów

uczucia, to na brzeg grobu dowloką się o żebraczym chlebie. — To dzisiejsze pokolenie tańczące przez rozum, wesołe z wyrachowania, rozhulane przez ostrożność, toć to nędzarze wśród ludzkości! W obec nich wygnańcy lodów syberyjskich magnatami mienić się mogą.

Wspomnienia młodych ideałów grzać będą ich serca jeszcze i wtedy, gdy głowę siwizna przypruszy, a naszym tancerzom tegorocznym cóż pozostanie na schyłek życia? Zbiór orderów kotylionowych i pamięć kawalerskiej szumki.

Czy kobiety także chcą tańczyć?
Odpowiedźcie, Wielkopolanki!

I. Moszczeńska.

KRONIKA LITERACKA.

Dzieła *Juliusza Słowackiego*, wydał dr. Henryk Biegeleisen. Lwów, nakładem księgarni polskiej 1894, tomów sześć, stron 384, 362, 454, 432, 501, 526.

Niestrudzony badacz literatury i bibliografii, dr. Biegeleisen, zasłużywszy się pierwszem krytycznem wydaniem dzieł Mickiewicza, z niemałym nakładem pracy oddał też samą przysługę Słowackiemu. Pierwsze cztery tomy są krytycznym przedrukiem pism Juliusza, dwa ostatnie składają się ze samych objaśnień pióra wydawcy. Praca to mozolna i że tak powiemy, nieopłacona, bo tylko garstka znawców zrozumie jej ogrom i znaczenie. Więc tem większe uznanie mamy dla wydawcy. Nie znaczy to jednak, ażebyśmy pracę jego uważali za wyczerpującą i pozbawioną usterek. Za najwłaściwsze, najodpowiedniejsze i najlepiej zestawione uważamy objaśnienia, tyczące się genezy każdego utworu. Mniej nas już zadawalnia streszczenie krytyk i sądów o każdym utworze Słowackiego. Dział ten, rzecz prosta, obchodzić może tylko znawców i bardzo wykształconą publiczność. Tak dla jednych, jak i dla drugiej, nadzwyczaj ciekawe są te sądy o Słowackim, które ukazywały się za jego życia; rozrzucone po rozmaitych czasopismach i książkach, są prawie niedostępne, a więc dzięki za ich wydobycie z zapomnienia. Ale nowsze krytyki pp. Małeckiego, Tarnowskiego, Bałuckiego, Nehringa itp. każdej chwili w rękach mieć możemy; kto chce studyować Słowackiego sam do nich zajrzy, a nie poprzestanie na streszczeniu dra Biegeleisena, które z natury rzeczy musi być krótkie, a więc dosyć pobieżne. Najmniej nam się podoba dział objaśnień rzeczowych.

Dr. Biegeleisen poszedł w nich za daleko, bo tak je układał, jakby Słowacki miał być czytany przez niewykształconą publiczność. Objaśnia więc co to znaczy: *mokka, bandera, zgrzebła, czajka, Wenus,* tłomaczy, że *Stambuł* jest to samo co Kanstantynopol, co to jest *Koloseum, kurant, kołtun, ananas* itd. Tego rodzaju objaśnienia były bardzo na miejscu przy 10-cio centowem wydaniu dla ludu „Pana Tadeusza“, ale przecież lud i wogóle sfery niewykształcone nie wezmą nigdy do ręki ani Krasińskiego ani Słowackiego, bo ich całkiem nie zrozumieją, a ci co ich czytają, z pewnością bez takich objaśnień się obejdą. Podziękować za to należy szanownemu wydawcy za bibliografią wydań, krytyk i przekładów Słowackiego. Mniej nas zadawalnia „Juliusz Słowacki na scenie“, gdyż nie widzimy celu w wyliczaniu wszystkich aktorów i aktorek w jego dramatach występujących; lepiej było poprzestać na zdefiniowaniu gry głównych wykonawców. W dziale „Słowacki w malarstwie“ znaleźliśmy wiele opuszczeń. Nie wspomina np. dr. Biegeleisen o „Anhellim“, Pruszkowskiego, który z pewnością jest jedną z najwspanialszych illustracyi poematu; nie ma tej wzmianki o illistracyach Stachiewicza, Lisiewicza i Roztworowskiego, wywołanych konkursem krakowskim; sam Roztworowski stworzył sześć bardzo ładnych i za najlepsze przez sędziów konkursowych uznanych kompozycyj. Powtarzamy jednak, iż pomimo tych usterek, tego czasem przeładowania, a czasem niewyczerpania przedmiotu, praca dra Biegeleisena zasługuje na wysokie uznanie, a kto tylko pragnie nabyć najlepsze wydanie dzieł Słowackiego, ten ma wybór łatwy, bo lepszego nad to wydanie, o którem mówimy, obecnie nie znajdzie. *B. K.*

Rocznik Sokoli. Kalendarz na rok 1895, wydany staraniem A. Cenare i A. Walleka, wyszedł nakładem i drukiem Z. Golloba, a przedstawia się wcale dobrze. Zawiera: Rocznice Sokole, wiersz wstępny J. Starkla, w cześć pamięci Jana Dobrzańskiego, dr. Tadeusza Żulińskiego i dr. Żegoty Krówczyńskiego. Życiorys Franciszka Hochmana, naczelnika „Sokoła“ zagrzebskiego, przegląd czynności sokolstwa polskiego za rok 1894, udział sokolstwa polskiego we wystawie krajowej, gniazda sokole jako towarzystwa wobec przepisów prawa publicznego, pierwszy kongres pedagogów polskich, sokoli układ ćwiczeń wolnych na miejscu, zasady sokole, przepisy dla towarzystw sokolich, przepisy i wskazówki dla kandydatów na nauczycieli gimnastyki, piśmiennictwo gimnastyczne polskie, rozkład ćwiczeń statystyka, kilką wspomnień z życia sokolego. Rysunki: Tadeusz Kościuszko, Franciszek Hochman, Sztandar związkowy. Ćwiczenia publiczne podczas wystawy Kościuszkowskiej. Kalendarz w oprawie kosztuje 60 ct.

* * *

„*Świat*“ nr. 23, z dnia 1. grudnia w pośród obfitości materjału literackiego i artystycznego mieści bardzo interesujące opowiadania wypadków w Krożach, oraz procesu, jaki był ich epilogiem w sądzie wileńskim. Opowiadania dopełniają illustracye, przedstawiające ośmiu obrońców, gubernatora Klingenberga i Teodozyi Zajewskiej, zwanej „Madonną krożańską“ przez adwokatów. Rzecz w całości wysoce zajmująca i tworząca poniekąd dokument historyczny dla przyszłości.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne — Cesarz niemiecki zapowiedział w mowie tronowej, w dzień otwarcia parlamentu, że wniesionym zostanie projekt obostrzenia przepisów karnych w obec stronnictw przewrotu. — Dymisya Hurki zyskuje coraz więcej na prawdopodobieństwie. Oczekują jej każdej chwili. Według „Timesa“ pastwili się Japończycy w niemiłosierny sposób nad Chińczykami po zdobyciu portu Artura. Rząd japoński wyraził z tego powodu ubolewanie swoje i oświadczył, że winnych surowo ukarze. — Walne zebranie Polek, zajmujących się działem pracy kobiecej na wystawie poznańskiej, odbyło się w sobotę wieczorem. Na zebraniu tem wykazywała pani prezesowa Motty w dłuższem i rozumnie uzasadnionem przemówieniu potrzebę założenia Towarzystwa dla ochrony pracy kobiecej.

Zjazdy i kongresy. Urządzenie wystawy hygienicznej w Warszawie odłożono do r. 1896. — Grono filantropów postanowiło urządzić w Warszawie chronologiczną wystawę obrazów malarzy polskich na korzyść ubogich.

Wystawy. We Lwowie odbył się zjazd młynarzów galicyjskich, na którym uchwalono stworzyć związek tych przedsiębiorców. Ognisko jego będzie we Lwowie, filie — w różnych punktach prowincyi.

Słowacki, potomek astrologów. Słowacki ma być potomkiem... astrologów!

Taką hypotezę rzucono na podziw światu w ostatnim numerze „Tygodnika Ilustrowanego“. Opiera się zaś ta hypoteza na dwoch faktach: 1) że w wieku XVI było trzech Słowackich, zajmujących się astrologją; 2) że twórca „Beniowskiego“ w poezyach swych i listach często wspominał o gwiazdach.

Zanim urzędnicy stanu cywilnego pokrewieństwo owo dokumentami oficjalnemi stwierdzą, i zanim dowiodą jednocześnie: w jakim stosunku do Słowackiego-poety i Słowackich-astrologów pozostaje Słowacki-baletnik i Słowacki-szewc (obaj współcześnie w Warszawie pracujący), pozwalamy sobie wystąpić z innem, równie uzasadnionem przypuszczeniem.

Podług nas Mickiewicz jest potomkiem... ogrodników. A oto dowody z dzieł samego poety poczerpnięte.

„Wilja w miłej, koweńskiej dolinie, wśród tulipanów i narcyzów płynie“ („Konr. Wallenrod“). „Wczora spostrzegłem, że róży kwiatek wyszyła zielono“ (ibid). „Pyszne Kiejstut miał sady, pełne jabłek i gruszek“ (ibid). „Jak wielorakie świecą na tem błoniu kwiaty!“ (W imienniku), „Uczułem zapach Włoch, róż i jaśminu“. („Sen w Dreźnie“). „Przypatrz się lepiej: poznasz gałąź cyprysową“ („Dziady“). „Trawki, równianki, róże, lilje. wianki owijają mię w koło (ibid.). „Niech umrę, patrząc w te róże, w te białe narcyza oczy (ibid.). „Wianek usnuty z modrych bławatków i zielonej ruty“ („Pan Tadeusz“). „Chłodnik, co się zielonym jaśminem wyplata“ („Do Laury“). „Fijołek klęczy zgięty pod kroplami ranku“ („Ranek i wieczor“). „Ni zawoje tulipana, ni liljowe sukienki ni róży pierś malowana“ („Pierwiosnek“).

Chyba dość...

To nieustanne zajmowanie się kwiatami (niekiedy i dla odmiany, owocami) czemże da się wytłomaczyć, jeśli nie, — atawizmem?

— Zgoda — powiecie — ale gdzież protoplaści-ogrodnicy?

Milczy o nich historya, gdyż ta wielka pani nie zajmuje się prostaczkami, szczepiącymi drzewa, ablegrującymi kwiaty, zbierającymi nasiona i t. p. Ale to nic. Wystarczy tu jedno, więcej niż historyczne, bo biblijne przypomnienie:

Pierwszym ogrodnikiem, dozorującym cudnych kwiatów edenu, był imiennik Mickiewicza — Adam!

Teatr i muzyka. W czwartek odegrano na scenie poznańskiej na benefis p. Marcellego Trapszego wesołą farsę francuzką p. t. „Człowiek o stu głowach“ Grą charakterystyczną i żywą odznaczyli się beneficyant, żona jego, p. Rapacki i p. Wojdałowicz. — W Krakowie koncertował z niezwykłem powodzeniem Włodzimierz Pachmann. — Lola Beeth wybiera się w podróż artystyczną po Wenecyi i Bukowinie, — Irena Abendrothówna zaślubia śpiewaka Dahna, synowca znanego poety. — W warszawskim teatrze Małym przygotowują krotochwilę Schönthana i Kadelburga p. t. „Pan Senator“. — Zygmunt Sarnecki napisał nową sztukę p. t. „Harde dusze“. Treść zaczerpnięta jest z powieści Orzeszkowej. — Pani Siedlecka znana poznańskiej publiczności artystka dramatyczna, występuje stale w teatrze Małym w Warszawie.

Zmarli:

Wiktor Duruy, znakomity historyk francuzki, zm. 25 listopada.

Wiktor hr. Baworowski, znany tłumacz Schillera, Gothego, Wielanda i Byrona, zmarł 2 grudnia we Lwowie.

Paweł Sauniere. powieściopisarz francuzki. zm. niedawno w Paryżu

BIBLIOGRAFJA.

W. Preyer: Rozwój umysłowy dziecka od pierwszego dnia życia. Wskazówki do czynienia obserwacyi dla rodziców i wychowawców. Przekład z niemieckiego dr. M. Flamma. Warszawa, u Teodora Paprockiego. 1896, str. 198.

A. Bleunard Coraz mniejsi. Powieść fantastyczna. Opracowała według oryginału francuzkiego Helena Ros... Warszawa. Nakład „Przeglądu Tygodniowego“ 1895. Str. 184.

Odpowiedzi Redakcyi.

B. Niesłusznem jest Pańskie twierdzenie, że spoglądamy niechętnem okiem na „młodą drużynę Apolla“ Popieramy najchętniej młode siły, jeżeli w nadesłanych utworach znać pokrewieństwo z — Apollem. „Dwóch próśb“ zamieścić nie możemy. Zręczne to rymy, miejscami nawet polot poetyczny, ale całość napuszona, pozbawiona warunków prawdziwego artyzmu. — Maurycy Zych drukował kilka pięknych nowel w „Głosie“ warszawskim. Cały tomik ukaże się niebawem.

Dr. S. Za wiele mieliśmy materyału. Wydrukujemy w przyszłym numerze.

Rt. Takiego dzieła nie znamy. Księgarnie również nic o niem nie wiedzą.

Marya 999. Dziękujemy serdecznie za uznanie, ale łaskawie nadesłanego artykułu zamieścić nie możemy, ponieważ stała nasza współpracowniczka pani I. Moszczeńska w tym samym duchu sprawę tę poruszyła.

—ska. Zakomunikujemy autorowi Pani życzenia

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

Dr. C. 10 mr. — Polska czytelnia akademicka w Karlsruhe (zebrane na uroczystości listopadowej) 5,75 mr. Razem 15,75. Ogółem zebraliśmy dotychczas 642,75 mk.

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki złożyli:

Dr. Stasiński z Konarzewa 10 mr. Polska czytelnia akademicka w Karlsruhe, (zebrane na uroczystości listopadowej) 5,75 mr. Razem 15,75 mr. Ogółem zebraliśmy dotychczas 135,25 mr.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.